Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 21

Jeszcze o Frankistach

W literacko naukowym Dodatku z 12 maja br. pt. „Frankiści i mord rytualny“ jest mowa o dyspucie, która na prośbę przedstawicieli tej sekty z jej założycielem Jakóbem Frankiem na czele odbyła się za zezwoleniem arcybiskupa Łubieńskiego we Lwowie. To „placet“ arcypasterskie było potrzebne, gdyż rzeczona dysputa, w której Frankiści walczyli o swoje tezy z 40-tu rabinami pod przewodnictwem rabina lwowskiego Chaima Kohena Rapaporta toczyła się nie gdzieindziej, jak w kościele archikatedralnym we Lwowie, a toczyła się publicznie wobec prałatów, uczonych teologów katolickich i innych dostojnych słuchaczy płci obojej.

Słusznie podkreślono w tym artykule osobliwość tego faktu, ale nazwanie dysputy „jedyną w swoim rodzaju“ nie odpowiada rzeczywistości. Nie była bowiem ani jedyną, ani pierwszą, gdyż według przytoczonej relacji rozpoczęła się 17 lipca 1759 r., a po 10-ciu posiedzeniach doszła do drażliwego punktu dotyczącego rzekomego mordu dopiero 10 września. Tymczasem taką samą bitwę słowną i w podobnych okolicznościach stoczono 2 lata przedtem, tj. w roku 1757, pod auspicjami poprzednika arcybiskupa Łubieńskiego, mianowicie Mikołaja z Dembowey Góry Dembowskiego w katedrze biskupiej w Kamieńcu Podolskim, jego ówczesnej diecezji. Ten książę kościoła (brat Sebastjana Antoniego Dembowskiego, znakomitego biskupa kujawskiego, przedtem W. Referendarza Koronnego), odznaczający się wielką gorliwością w sprawach swego urzędu, położył na nim wielkie zasługi, w szczególności przez odrestaurowanie zniszczonego kościoła katedralnego, który przez czas dłuższy znosić musiał ciężkie upokorzenie, że na jego szczycie widniał jako znak zwycięstw tureckich półksiężyc muzułmański.

Pozostawienie go na tem miejscu jako sromotny warunek zastrzegał zawarty w roku 1699 pokój Karłowicki. Pomysłowy biskup Dembowski zdołał wszakże pogodzić dotrzymanie bolesnego zobowiązania z godnością świątyni umieszczając na półksiężycu posąg Bogarodzicy i przemieniając go przez to w znane godło symboliki chrześcijańskiej i czci dla Matki Bożej.

Stosunek tego biskupa do Frankistów oświetla ze swego stanowiska Dr. Jakób Shall w swej Historji Żydów w Polsce, na Litwie i Rusi, Lwów 1934, str. 146—147, podając, że swe wrogie usposobienie względem talmudu miał on okazać najpierw w roku 1750 wydaniem nakazu wypędzenia w ciągu 24 godzin wszystkich Żydów z Kamieńca Podolskiego (sic), a następnie zarządzeniem odbycia dysputy Frankistów, zapowiadających przyjęcie chrześcijaństwa z rabinami jako „Talmudystami“, której epilogiem po potępieniu zasad Talmudu było spalenie tych ksiąg w ilości kilku tysięcy egzemplarzy.

Wkrótce potem Mikołaj Dembowski mianowany arcybiskupem lwowskim umarł niespodziewanie przed objęciem metropolji, a jego śmierć, jak wspomina Dr. Schall, uważali Żydzi jako karę Bożą za owe zniszczenie Talmudu; rozpowszechnione mniemanie atoli przypisywało ją otruciu jako aktowi zaciekłości fanatyków, lękających się poczynań Arcybiskupa na nowej stolicy. Pomimo, że na niej nie zasiadł, portret jego zajmuje miejsce w galerji arcypasterzy lwowskich w pałacu arcybiskupim, a inna podobizna znajduje się w zakrystji katedralnej.

Ciekawym dokumentem dla tej niezwykłej sprawy są akta tego procesu wydane drukiem we Lwowie w roku 1758, a więc po śmierci arcybiskupa Dembowskiego przez kanonika Kleyna, który w przedmowie tłomaczy się, że dla dogodzenia życzeniu niecierpliwie tej publikacji oczekujących czytelników, z 3-ch części składających się na całość, drukuje najpierw część trzecią, najbardziej zajmującą, bo zawierającą decyzje, a ogłoszenie dwóch pierwszych, które obejmą czynności przygotowawcze i śledcze, odkłada na później. Czy się one następnie ukazały w druku, piszącemu nie wiadomo. Wydany tom, będący w jego posiadaniu, poświęcony prymasowi Łubieńskiemu i biskupom przemyskiemu Sierakowskiemu, chełmskiemu Wężykowi, kijowskiemu Sołtykowi i nominatowi na biskupstwo kamienieckie, Hieronimowi Szeptyckiemu nosi tytuł:

Coram iudicio recolendae memoriae Nicolai de stemmate Jelitarum a Dembowa Góra Dei et Apostolicae Sedis gratia Episcopi Camenecensis postulati Archiepiscopi Metropolitani Leopoliensis, Praepositi Generalis Commendatarii Miechoviensis equitis Aquilae Albae.

Pars III.

de decisoriis processus inter infideles Iudaeos Diocesis Camenecensis in materia Judaicae eorum perfidia, aliorumque mutuo objectorum A. D. 1757 expedita.

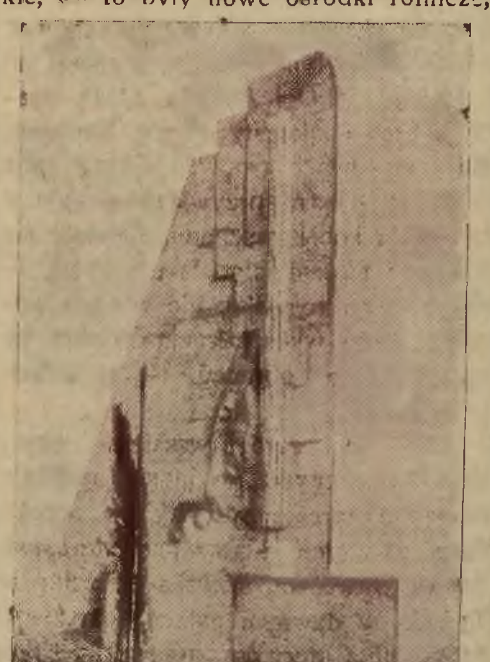
Obok obszernych protokółów rozpraw odbywanych pod osobistem przewodnictwem arcypasterza, manifestów, dekretów biskupich, mów uroczystych „do niewiernych Żydów“, okraszonych cytatami biblijnemi i teologicznemi bez liku, tudzież wyrazami hołdu dla arc. Dembowskiego jako Męża bożego, wiernego Sługi bożego i Pasterza, którego najświetniejsze chrześcijańskie cnoty są ozdobą ojczyzny, owszem całego świata“ znajduje się tam i ślad dekretu skazującego na spalenie omawianych ksiąg, potępionych w myśl Klementyńskiej Konstytucji z r. 1582, z powodu ich bezbożnej i bluźnierczej treści, wreszcie list żelazny Augusta III. dla otoczonych opieką królewską Antitalmudystów (Frankistów).

D.

Guidonia, „miasto skrzydeł”

Na słynnej „Kampanji rzymskiej“ wyrosło świeżo jeszcze jedno miasto, — w niczem niepodobne do swych 3 niedawno powstałych siostrzyc.

Littoria, Sabaudia i Pontinia, — o których założeniu rozpisywały się w swoim czasie szeroko dzienniki włoskie, — to były nowe ośrodki rolnicze,



Pomnik ku czci gen. Aleksandra Guidoni.

zbudowane w celu podniesienia rolnictwa na osuszonych terenach słynnych bagien pontyjskich.

Natomiast czwarte nowe miasto, Guidonia, „miasto skrzydeł“ *(citta delle Ali)* ma charakter zupełnie odmienny. Jest to poprostu nowoczesna wielka stacja doświadczalna dla lotnictwa włoskiego, znajdującego się w stadjum szybkiego i wspaniałego rozwoju.

Nowe to miasto, otwarte uroczyście przez Mussoliniego dnia 27 kwietnia br., otrzymało swą nazwę od generała Aleksandra Guidoni, jednego z pionierów lotnictwa włoskiego.

Guidoni, sam znakomity i odważny lotnik, był konstruktorem aparatów lotniczych i spadochronów, które sam osobiście wypróbowywał przed oddaniem ich do użytku. Dnia 28 kwietnia 1928 roku postanowił wypróbować nowy skonstruowany przez siebie spadochron. W piśmie wystosowanem do jednego ze swych współpracowników wyjaśnił, jakie modyfikacje uważałby za potrzebne na wypadek, gdyby próba ta miała wypaść dla niego niepomyślnie...

Nie zawiodło go przeczucie: próbę tę przypłacił życiem na polach Montecelio, w odległości dwudziestu paru kilometrów od Rzymu.

Na polach Montecelio stanął skromny pomnik na cześć bohaterskiego lotnika, — a opodal rosiadło się nowe miasto — Guidonia.

* * *

Na pierwszy rzut oka Guidonio nie różni się niczem od innych miast, powstałych za rządów Mussoliniego: kościół, szkoła, „municipio“, budynki przeznaczone na siedzibę władz, partji, Dopolavoro, Balila. Jest nawet kino i stadjon sportowy. W bukietach drzew kryją się nowoczesne białe wille z ogródkami. Szerokie, widne ulice, dużo zieleni.



Typy dziewcząt z Montecelio w ludowych kostjumach

Gdy jednak zapuścimy się w głąb tego dziwnego miasta, ujrzymy tam duży budynek, otoczony szeregiem pawilonów. To Centralny Gmach Studjów, w którym ma siedzibę „Direzione Superiore Studi ed Esperienze“, centralna Dyrekcja studjów i doświadczeń. To serce i mózg lotnictwa włoskiego.

Tutaj wypróbowuje się wszystkie maszyny lotnicze w sposób niesłychanie staranny i drobiazgowy. Próba zaczyna się w laboratorjach, a kończy



Guidonia. Jedna z głównych ulic.

na lotnisku. Laboratorja obejmują wszystkie gałęzie wiedzy: chemję, fizykę, mechanikę, dynamikę, elektryczność.

Bada się więc kolejno: materjały, z którch samolot jest sporządzony (drzewo, stal, metale, płótno, lakiery).

Bada się następnie funkcjonowanie wszystkich precyzyjnych instrumentów, niezbędnych dla lotnika, bada się wytrzymałość : odporność materjałów, jak również aparaty radjowe, odgrywające tak doniosłą rolę w lotnictwie wojskowem.

Jednem z najciekawszych urządzeń jest tzw. „pawilon aerodynamiczny“, złożony ze sześciu galeryj, z których jedna przeznaczona jest do prób z „autogirem“.

W innej galerji olbrzymie wentylatory wytwarzają prąd powietrza o szybkości 360 klm. na godzinę, celem wypróbowania wytrzymałości samolotów i ich skrzydeł.

Wreszcie dla wypróbowania hydroplanów zbudowano ogromny basen, długości blisko 500 mtr.

Na uboczu nieco dokoła wyniosłej wieży chłodniczej, grupuje się sześć pawilonów Sekcji termodynamicznej. Huk tam prawdziwie piekielny, ogłuszający. Tam bowiem przeprowadza się nieustanne próby z motorami, tym najdelikatniejszym organem, żywem sercem maszyny lotniczej.

Całe to miasteczko zaludniają młodzi lotnicy, elewi wyższych szkół wojskowych, mający do pomocy dobrany sztab mechaników i techników. Nad wszystkiem zaś czuwa gen. Cristoforo Ferrari, prawdziwy dyktator lotniczy, ożywiony szczerym zapałem do pracy nad dalszym rozwojem lotnictwa włoskiego, które już dziś wysunęło się na jedno z pierwszych miejsc w lotnictwie światowem. *(kr.)*

Jak żyje Stalin?

W pobliżu Moskwy, we wsi Gorki, w domu, w którym ostatnie chwile spędził Lenin, żyje obecnie potężny dyktator Sowietów — Stalin. Żyje z z najbliższą rodziną w odosobnieniu — jest to z jego strony dowodem wielkiej łaski, jeżeli kogoś czasem zaprosi na szklankę kaukazkiego wina.

Pałacyku w Gorki strzeże ze wszystkich stron pięciuset wielokrotnie wypróbowanych agentów tajnej policji.

Ani w samej wsi, ani wzdłuż całej szosy do Moskwy nie mieszka dziś ani jeden wieśniak — wszystkie domy zajmuje gwardja przyboczna Stalina. Sam ją dobierał — a w skład jej wchodzą mieszkańcy Kaukazu: Gruzini, Georgijczycy, Osetyńcy itd.

Stalin tylko zna ich ojczyste języki i w ich narzeczach z nimi się porozumiewa. Oddani mu są na śmierć i życie. W ostatnich czasach przyjęto do tej służby kilkudziesięciu niemieckich komunistów. Również i szoferzy są bardzo starannie przez samego Stalina dobierani. Ci obcokrajowcy, których nic nie łączy z miejscową ludnością — ta ich nienawidzi — są zależni od łaski i niełaski Stalina, wiedzą, że bez niego skazani są na zagładę — więc mu są wierni na śmierć i życie.

Każdego dnia o godzinie 9-tej zrana wyjeżdża z Gorki do Moskwy opancerzony lśniący od czystości automobil marki Roll - Royce. W towarzystwie trzech agentów G. P. U. jedzie Stalin na Kreml, strzeżonym przez swoją gwardję gościńcem. Za nim jadą dwa dalsze auta pełne czerwonych gwardzistów. Ponieważ znane luksusowe auto mogłoby się stać łatwo ofiarą zamachu, zamówił Stalin w tej samej angielskiej fabryce pięć identycznych Roll-Royców. Jeżeli grozi niebezpieczeństwo, wyrusza z przed dworu w Gorki równocześnie sześć takich samych aut. Nikt nie wie, w którem znajduje się Stalin. W każdem z nich widzi się przy oknie wpół odsłonioną twarz o wschodnich rysach. Wozy przybywają na Kreml i wjeżdżają doń sześciu różnemi bramami. Nawet w Kremlu nie wiedzą, kiedy i któremi drzwiami zjawi się Stalin na jakiemś posiedzeniu. W przeciwieństwie do innych wodzów bolszewizmu Stalin bardzo rzadko ukazuje się na ulicach Moskwy i nigdy sam, podczas gdy np. Rykow swobodnie spaceruje po ulicach. Wszystkie środki policyjne, jakie zna zachodnio - europejska policja, wszystkie metody, jakie na wschodzie stworzono dla ochrony władcy, stosuje się obecnie dla ochrony Stalina. Ale Stalin jest sam zbyt doświadczonym spiskowcem, by nie wiedzieć, że nawet najlepsza straż może nie być w stanie ochronić go przed zamachem. Nigdy nie przyjmuje nikogo w swoim pokoju, chyba w otoczeniu osób trzecich. Nawet do wspólnego stołu na Kremlu nie zasiada razem z innymi.

Jest święcie przekonany, że jest ostatnim prawdziwym bolszewikiem, że z chwilą jego upadku padnie nietylko bolszewizm w Rosji, ale stanie się niemożliwem wywołanie rewolucji światowej, której poświęcił przecież swe życie.

O 9-tej rano zaczyna się praca na Kremlu i trwa nieraz nawet 16 godzin. Posiedzenia, konferencje, audjencje, ukazy, cała skombinowana maszynerja zarządu państwem, skupia się w jego pracowni.

Otoczenie jego stanowią członkowie partji, którzy mimo jego brutalności, grubjaństwa, nietolerancji, chytrości i nielojalności ufają mu i wierzą w powodzenie jego planów.

Niesłychana siła woli, jego bezwzględna bezinteresowność w sprawach pieniężnych, wreszcie strach przed nim gromadzi koło niego gromady bezkrytycznych stuprocentowych bolszewików. W ciągu dnia Stalin rzadko opuszcza Kreml. Jeżeli chodzi o jakieś bardzo ważne prace przesiedla się na pewien czas wraz z rodziną na Kreml. Zajmuje wtedy dwa małe pokoje, zamieszkiwane dawniej przez carskich lokaji.

Inni komisarze mieszkają we wspaniałych komnatach dawnych władców Rosji. Żyje się tu ciągle jak na wulkanie, w ustawicznem nerwowem napięciu. W zupełnym odosobnieniu i bez żadnej styczności z ludnością. Mieszkańcy Kremlu nawet w porach posiłku pozostają na zamku, i jadają razem

Jadalnię urządzono na parterze w kuchni pracują najlepsi dawni carscy kucharze, cukiernicy, pasztetnicy. Potrawy podaje się na talerzach ze złoconymi carskimi monogramami. W sali panuje chaos, współbiesiadnicy kłócą się ciągle, dyskutują, wymyślają sobie, wszyscy jednak drżą przed Stalinem, który krótką drogą może ich na łeb wyrzucić z Kremlu, z partji i zesłać Bóg wie gdzie. Wiedzą oni dobrze, że Stalin dzięki swym szpiegom i znakomitej organizacji swojej policji, wszystko o nich wie. Stalin sam w tych ucztach nigdy udziału nie bierze. Nie znosi żadnych łakoci. W swojej pracowni zatopiony w aktach, spożywa prosty posiłek, przysposobiony przez zaufanego kucharza, a częściej jeszcze przez sprowadzoną z Niemiec drogo opłacaną, lecz wierną mu kucharkę. Ale i to nie zapewnia zupełnego bezpieczeństwa. W roku 1932 struto na Kremlu posła sowieckiego w Rydze Gukowskiego. Stalin w tem rąk nie umaczał. Gdy konający kazał go wezwać, by mu wszystko powiedzieć, nie dano Stalinowi nawet znać, że jego osobisty przyjaciel kona. Od tego czasu jest Stalin jeszcze ostrożniejszy, używa potraw jeszcze prostszych, bojąc się trucizny.

Na życie prywatne Stalin ma czasu nie wiele. Życie to prowadzone na sposób czysto azjatycki, różni się bardzo od życia innych wybitnych komunistów. W młodości Stalin ożenił z młodą rodaczką z Fanidse, która jeszcze przed rewolucją zmarła na suchoty. Pozostawiła mu jednego syna, gdy ten niedawno przepadł przy egzaminie na politechnice, oświadczył mu Stalin krótko: „Nie chcesz być inżynierem, pojedziesz do Tyflisu na praktykę do szewca“ i rzeczywiście tak zrobił. W 50-tym roku życia ożenił się z 15-letnią Nadją Alleluja, córką Osetyńca, rewolucjonisty z gór Kaukazu. Ma z nią dwóch synów, — żona jest do niego bardzo przywiązana, ale z uległością kobiet wschodu. Zajmuje się domem i mężem, nigdzie nie bywa — nie umie po rosyjsku, nie posiada odpowiedniego wykształcenia, trudno by jej więc było obracać się w kołach męża.

Choć sam gardzi wszelkim zbytkiem i bogactwem, to jednak rodzinie swojej dostarcza wszystkiego czego dusza zapragnie. Matka jego staruszka dawna krawcowa, mieszka obecnie w Tyflisie, w dawnym pałacu carskiego namiestnika otoczona królewskim zbytkiem. Władza jej w Tyflisie jest nieograniczoną, musi się z nią liczyć nawet towarzysz Eljawa, potężny komisarz Tyflisu. Gdy nie znające staruszki otoczenie temu się dziwi, oświadcza Eljawa: „to matuszka Stalina“.

Stalin uzupełnia obecnie swoje wykształcenie. Praktyk w sprawach komunizmu, ukończył jako chłopiec szkołę powszechną w Tyflisie, a następnie był przez 3 lata w seminarjum duchownem, z którego go wypędzono z chwilą, gdy mu udowodniono, że należy do robotniczych kół socjalistycznych i agituje między kolegami.

Włada dobrze tylko swoim językiem narodowym — rosyjskiego do dziś dnia porządnie się nie nauczył, zna trochę niemiecki, a próby nauczenia się po angielsku i francusku, spełzły na niczem.

Przedmiotem jego studjów, jest wyłącznie nauka o socjaliźmie. Marksie, studja gospodarcze. Nie ma zupełnie zrozumienia dla literatury pięknej i sztuki. Jego zamiłowania w tym kierunku ograniczają się do tego, że słucha często dźwięków ustawionej w swoim pokoju pianoli, i co ciekawe chętnie na niej wygrywa marsza żałobnego Szopena. Ulubioną jego operą jest Aida Verdi'ego — lubi wogóle balet i operę.

Towarzysko rzadko się styka ze swoimi towarzyszami pracy; zna ich dobrze i wie, że los ich ma w swoich rękach. Osobliwe są metody jakiemi się w tym celu posługuje. Oto w ogniotrwałej kasie, w pokoju Stalina znajdują się liczne porządnie ułożone akta policyjne i kryminalne, nawet raporty dawnej carskiej policji i „ochrany“.

Z chwilą, gdy któryś z jego pracowników poczyna być nieprawomyślny, lub chciałby przejść do opozycji, Stalin wzywa go do siebie, wyciąga odpowiednie akty z szafy, pokazuje je winnemu, dając dowód, że wie, iż np. Pan X dziś bolszewik, w roku 1905 w takiej a takiej miejscowości poufalił sie i pił z urzędnikiem carskiej policji. Widzisz — mówi do niego Stalin — uważaj gdyby o tem wiedzieli dzisiejsi twoi towarzysze, mógłbyś mieć nieprzyjemności“. Zazwyczaj taka przestroga wystarcza. Jeżeli nie: demaskuje się niedoszłego opozycjonistę publicznie, co powoduje wykluczenie z partji, wygnanie a nawet rozstrzelanie.

Ale akty policyjne odnoszące się do jego własnej przeszłości z czasów gdy dokonywał rozmaitych „wywłaszczeń“ i dopuszczał się różnych gwałtów, powyszukiwał skrzętnie po archiwach carskich i wszystkie zniszczył.

Gośćmi Stalina w Gorki bywają od czasu do czasu Ordżonikidze, Nikojana Woroszyłow, Kaganowicz. Ale nawet w stosunkach z przyjaciółmi jest despotyczny, boją go się równie jak i przeciwnicy. Opanowany jedyną idea wszechświatowego komunizmu, żyje wyłącznie dla niej. Jest przekonany, że jego system rządzenia batem, doprowadzi ludzkość do czerwonego raju. Nie wzrusza go ani nędza, w której pogrążył Rosję — nie wpływają na niego ujemnie bunty, klęski i niepowodzenia. Wszystkie okropności współczesnego życia Rosji odbijają się od niego jak od skały.

W wyczekiwaniu na rewolucję światową, o której rzekomym wybuchu donoszą mu codziennie zagraniczni posłowie i właśni agenci, z dnia na dzień staje się zgryźliwszym, bo jest przekonany, że może ona dojść do skutku tylko pod jego kierownictwem. W Rosji dzisiaj prócz niego nikt nie wierzy w rewolucję światową. Wierzy w nią Stalin, bo tak przepowiedział Lenin, Ta wiara to jedyna idea, która opanowała go wyłącznie i zupełnie.

Rzadkie są u niego napady wesołości. Ale wtedy bawi się całą noc — sam pije nie wiele, ale nie szczędzi

silnego kaukazkiego wina swym gościom. Rozweselony poczyna nucić stare pieśni gruzińskie, mimo swoich lat 55 puszcza się w wojenny taniec swojej ojczyzny. Rok rocznie, gdy minie okres najcięższej pracy spędza swój miesięczny urlop w górach Kaukazu w małej republice Gieorgji. Czasem wyjeżdża nad morze Czarne do Aohazji, gdzie w cudownej okolicy Piotr książę oldenburski wybudował szereg pałaców i will odwiedzanych w lecie przez carów, książąt i najwyższych dygnitarzy państwa. Obecnie spędzają tam lato nowi władcy Kremla.

Często w czasie urlopu odwiedza swoje miasto rodzinne Gory, mieszka wtedy w pałacu sławnego księcia Amilachwary, wspominając dzieciństwo i wiek młodzieńczy. W Tyflisie odwiedza kolejowe warsztaty robotnicze, w których do dziś dnia żyje jeszcze kilku starych robotników, oni to ongi wciągnęli go w szeregi socjalistów. Tych starców wita serdecznie, całuje i ściska, co chętnie odwzajemniają, nazywając go po staremu Sozo (przezwisko chłopięce) lub Koba (pseudonim z okresu rewolucyjnego 1905). Ci ludzie, to może jedyni w Rosji, którzy go naprawdę szanują i cenią i naprawdę po ludzku są do niego przywiązani. Stalin z szacunkiem nazywa ich swoimi nauczycielami ze szkoły rewolucji.

Mimo ocierania się o warstwy wykształcone, mimo pilnych studjów Stalin nie pozbył się do dziś swojej gruboskórności i grubijaństwa.

Przed kilku laty sławna angielska malarka chciała zrobić jego portret, Stalin zgodził się, pozował cierpliwie, przyglądając się z dziecinną ciekawością postępom pracy. Raz powiedziała malarka: „Kto raz widział pańską twarz, nie łatwo o niej zapomni". Stalinowi to pochlebiło dumnie podkręcił wąsa i oświadczył z całą godnością: Tak, tak — taka twarz jak moja nie może przepaść w tłumie". Mimo całej swej potęgi Stalin nie ma zamiaru odgrywać roli Napoleona w Rosji. Wystarcza mu, że jako indywidualność imponuje swoim towarzyszom partyjnym i otoczeniu i zmusza wszystkich do posłuchu. W sprawach pieniężnych jest bezwzględnie uczciwy, a nieuczciwości w tym kierunku nie wybacza nikomu i nigdy. Świadczy o tem następujący przykład. Przed kilku laty w Tyflisie przedstawiono mu najwybitniejszych członków armeńskiej partji komunistycznej. Między innymi był obecny komisarz ludowy towarzysz P. Stalin chwilę uważnie mu się przyglądał, wreszcie zapytał: „Czy wyście towarzyszu pracowali w partji w roku 1906 w Rostowie pod pseudonimem X? Zdziwiony i zadowolony komisarz, że potężny Stalin tak dawne czasy pamięta, potwierdził pytanie. Stalin zarumienił się, spuścił głowę, podniósł równocześnie rękę i wymierzył komisarzowi tęgi policzek. „Ten łajdak — wyjaśnił otoczeniu w roku 1905 skradł z kasy partyjnej 25 rubli".

O Stalinie krąży w Rosji wiele rozmaitych złośliwych dowcipów. Np. podczas walki z Trockim krążył taki dowcip: „Co słychać pod murami Kremlu? Odpowiedź: Skargi Jeremiasza" (aluzja do żydowskiego pochodzenia Bronsztajna - Trockiego), a w Kremlu? „Tam słychać wojenny taniec Giorgijczyka".

Gruzini dostali się do Kremlu i dziś w jego murach rozbrzmiewają wolenne pieśni azjatyckie.

Despotyzm Stalina, jego sposób postępowania z ludźmi, przypomina dwóch największych despotycznych carów: Iwana Groźnego i Piotra Wielkiego. Metody stosowane względem społeczeństwa, przez tych okrutników, nietylko niczem się nie różnią od taktyki Stalina — on ich przewyższył.

Ale tamci obydwaj mimo wszystko byli popularni. Stalin zaś jest znienawidzony. Bez blasku i świetności — wśród ponurego nastroju upływa jego panowanie. Jest typem samowładczego satrapy i to typem, który można śmiało postawić obok Dżingischana.

Rządy nie przychodzą łatwo. Wiele rąk oswojonych z każdą zbrodnią i krwią zbrukanych, wyszkolonych w konspiracji, zaprawionych w tajnych spiskach sięga po władzę i spadek po nim. Opozycyjni komuniści, generałowie, emigranci, dawni przyjaciele i wrogowie czyhają na jego życie. Od lat niema tygodnia, by nie wykryto jakiegoś spisku lub zamachu. Trzeba rzeczywiście ogromnej odwagi, żelaznej energji i silnych nerwów, by to wszyst ko wytrzymać. Pomaga u w tem znakomicie zorganizowany przez niego partyjny policyjno - szpiegowski aparat. Obecnie Stalin interesuje się bardzo sprawami dalekiego wschodu. Polityka jego w stosunku do Chin, Mandżurji, Persji, Afganistanu, Tybetu i Indyj angielskich jest dalszym ciągiem polityki carskiej. Ale car rządził w imieniu Rosji, Stalin zaś w imieniu kollektywistycznej czerwonej eurazji. Lenin nazwał go Stalinem, legendarnym Gieorgijczykiem. Rzeczywiście o jego odwadze osobistej, chytrości, mnożą się z dnia na dzień rozmaite legendy, tak, że trudno odróżnić prawdę od rzeczy zmyślonych.

Na zakończenie podaję dwa ciekawe zdarzenia z roku 1930. Na jednym z posiedzeń, doniesiono, że pewne korpusy armji buntują się z powodu złego odżywiania. Stalin kazał stłumić bunt drakońskimi środkami. Oburzyło to Woroszyłowa, który zawołał: „Nie zapominajcie, że jako minister wojny mogę każdej chwili zbombardować Kreml, razem z wami". Na to Stalin zerwał się ze swego miejsca, rzucił się na Woroszyłowa i pobił go w okrutny sposób. Pięść to jego argument zapewniający mu respekt. Nie dba o miłość podwładnych, twierdząc „władca żąda posłuszeństwa, a miłości tylko Bóg".

Wcześniej czy później musi dojść do starcia azjatyckiego kollektywizmu i bolszewizmu z Europą. Dziś Stalin ma do dyspozycji blisko 11-miljonową armję (w razie powszechnej mobilizacji), ale czy może być pewny armji? Czy czerwoni generałowie spełnią jego rozkazy? czy pewnego dnia nie obsadzi Kreml jakiś generał z wojskami dziś wiernych czerwonych chorągwi, wprowadzając tem samem opozycję na carski zamek i unicestwiając na setki a może i tysiące lat ostateczne azjatyzowanie Europy. Dziś rządzi jeszcze Józef Wissarjonowicz Stalin, generalny sekretarz partji komunistycznej, uosobienie azjatyckiej wielkości, azjatyckiego okrucieństwa, że chce się rzucić na Europę, by z jej wolą lub bez jej narzucić dobrodziejstwa czerwonego raju.

Podałem krótką charakterystykę Stalina, bo my Polacy, jako najbliżsi sąsiedzi sowietów, który może w najbliższej przyszłości będziemy zmuszeni wytrzymać i odeprzeć nowy atak komunistycznych czerwonych wojsk powinniśmy znać zalety i wady człowieka, który te armje może pchnąć do boju.

Dziś małe jest prawdopodobieństwo, by Rosja zajęta piatiletką zdemoralizowana, wygłodzona i spodlona systemem rządu była zdolna do jakiejś ofenzywy na Zachodzie. Ale w Rosji jest wiele rzeczy nieobliczalnych, a my musimy być na wszystko przygotowani. Zwłaszcza dziś, gdzie z zachodu coraz silniej napierają Niemcy z Hitlerem na czele.

Zaniechanie waśni partyjnych, jedność całego narodu, konsolidacja wewnętrzna są nakazem chwili. W roku 1920 daliśmy dowód, że w chwili niebezpieczeństwa potrafimy godnie stanąć pod bronią, odeprzeć zakusy wroga i ocalić nietylko własną Ojczyznę, ale całą Europę przed zalewem bolszewizmu.

St. Sikorski
major w st. spocz.

O zmienności w życiu ludzkiem

Mimo liczne wynalazki i udogodnienia natury technicznej, świat stoi stać będzie pod znakiem ustawicznych, coraz to nowych odkryć i wynalazków naukowych. Większość nowych zdobyczy technicznych siłą faktu będzie szła w kierunku. oszczędniejszego zużywania materjałów, lepszych metod ich otrzymywania, względnie wyszukiwania coraz to nowych materjałów surowcowych.

Słusznie może ktoś zapytać, po co ta cała gonitwa, po co ten ustawiczny zamęt wprowadzający w nasze życie czynnik niepewności i ciągłej zmienności zarówno życia gospodarczego, jak i kulturalnego? Czy nie lepiej ustabilizować nasze życie w granicach tych możliwości, jakie istnieją, oprzeć naszą produkcję na tych surowcach, jakie dziś głównie są w użyciu? Czy większość tych wszystkich odkryć nie jest połączona z zwyczajnem pędem geszefciarskiem, czy nie wynika ze spekulacji? Może, gdyby się w miejscu osadziło ten rozpęd wynalazczy, nastałyby lepsze, spokojniejsze czasy?

Gdy zastanowimy się nad powyższemi pytaniami, to odrzuciwszy motyw spekulacyjny i żądzę zysku, dyktującą nabieranie ludzi na coraz to nowe „wynalazki", stwierdzić musimy, że niestety w tem stadjum kultury materjalnej, w jakiem znaleźliśmy się dziś i w tych stosunkach społeczno - politycznych nie może być wprost mowy o jakiejś stabilizacji w dziedzinie technicznej wynalazczości.

Ażeby utrzymać ten poziom kultury materjalnej, do jakiego dziś doszliśmy, trzeba go ustawicznie zasilać coraz to nowemi środkami, trzeba wynachodzić coraz to nowe surowce, by módz produkować wszystko to, co dziś jest niezbędne do życia kulturalnego człowieka. Surowce, na których oparta jest cała nasza produkcja materjalna, wyczerpywane są z olbrzymią szybkością i troska o oszczędniejsze ich zużywanie, względnie o zastąpienie ich nowemi materjałami staje się potężnem źródłem tego czynnika zmienności, który dziś zaciążył nad całem życiem ludzkości.

Zaczęto sumować i obliczać zasoby naszych surowców, zaczęto poszukiwać nowych źródeł i w rezultacie przekonano się, że chcąc gospodarować z myślą o przyszłości, trzeba przestać marnować surowce. I zaczęto obmyśliwać rozmaite metody oszczędnej produkcji, zaczęła się przebudowa życia gospodarczego z punktu widzenia oszczędniejszego zużycia materiałów. Niemal we wszystkich krajach cywilizowanych zaczęły się podnosić głosy przeciwko karygodnej, rabunkowej rozrzutności wszelkiego rodzaju i skandalicznemu niszczeniu naszych bogactw przyrody.

Ta potrzeba ustawicznego ulepszania zużycia surowców w kierunku coraz większej oszczędności wynika i z głębszych przyczyn.

Naogół panuje przekonanie, że ludzkość jest w swoim rozwoju już bardzo stara, a sceptycy wróżą jej najrozmaitsze kataklizmy, nie wyłączając końca życia cywilizacyjnego. Badania naukowe zdają się jednak przeczyć tym poglądom. Znakomity astronom angielski Jeans, podając w jednej ze swych książek w sposób popularny ostatnie zdobycze astronomji, zamieścił następujący ustęp:

„Jeśli spojrzymy na to, czego nas uczy astronomja, z punktu widzenia „przestrzennego", to odnosimy wrażenie melancholijnego i przygniatającego ogromu; z punktu widzenia **czasu** astronomja otwiera przed nami możliwości niemal nieograniczone. Jako obywatele **Wszechświata,** żyjemy raczej **bliżej** jego **końca.** niż początku; zdaje się bowiem, że większa część Wszechświata rozpłynęła się w promieniowanie, zanim pojawiliśmy się na widowni. Jednakże jako **mieszkańcy Ziemi** żyjemy na samym **początku czasów; przyszliśmy na świat w pierwszych brzaskach świtu i dzień o długości niewyobrażalnie wielkiej rozpościera się przed nami,** — dając nam możność osiągnięcia nieskończonego niemal rozwoju. Potomkom naszym z dalekich wieków przyszłych, spoglądającym wstecz, czasy obecne wydawać się będą mglistym porankiem dziejów świata, nasi współcześni — mrocznemi, bohaterskiemi widmami, które przedzierały się przez gęstwinę niewiedzy, błędu i zabobonu — ku prawdzie, ku okiełzaniu sił przyrody, ku uczynieniu świata godną siedzibą rasy. Zbyt gęste jeszcze mgły nas otaczają, byśmy mogli wyobrazić sobie, nawet w przybliżeniu jak świat nasz będzie przedstawiał się tym, którzy przyjdą po nas i będą go widzieli w pełnem świetle dnia.

Lecz nawet w obecnem słabem świetle dostrzegamy w tem, co nam przynosi astronomja, **posłannictwo nadziei dla rasy — lecz i odpowiedzialności jej członków: odpowiedzialności, gdyż kreślimy plany i kładziemy podwaliny pod przyszłość bardziej odległą, niż możemy sobie wyobrazić".**

Ale nietylko te troski o przyszłość całej ludzkości będą bodźcami do ustawicznego ulepszenia metod zużycia skarbów przyrody. Inny ciaśniejszy, a jednak najdonioślejszy w rozwoju cywilizacyjnym czynnik, rozwinął w czasach ostatnich twórczą i wynalazczą działalność ludzką. Tym czynnikiem to życie narodów, dążności ich do samodzielności i zachowania pełni całego swojego życia nie wyłączając gospodarczego, a przedewszystkiem dążność do zachowania swej niepodległości państwowej stwarza dla każdego państwa narodowego swoiste problemy gospodarcze. Niezależnie od ogólno - światowych zasobów surowców opracowuje się metody produkcji, poszukuje się nowych surowców czy namiastek. Inne są w związku z tą sprawą problemy gospodarcze Niemiec i Francji, a inne n. p. Polski. Ten krąg interesów, krąg który się ustawicznie wzmacnia i dominuje nad wszystkiem, pobudzać będzie największe i najlepsze umysły swych członków do coraz to żywszej działalności, rezultatem której będą nietylko zmiany w życiu danego kraju. Odbiją się one również zależnie od swej doniosłości, głębokiem echem po przez cały świat.

Widzimy więc, że perspektywy zahamowania **zmienności** naszego życia materjalnego są prawie że żadne.

Gdzież więc szukać czynnika stabilizującego życie człowieka?

W tej wielkiej prawdzie, że człowiek nietylko samym chlebem żyje, a obok ciała i duch ma swoje prawa i w nim tkwią źródła całej ludzkiej twórczości. Trzeba patrzeć na życie ludzkie, nie jako na coś prostego, ale w imię jego pełni, różnorodności i harmonji, ograniczać przesadne ambicje wyłącznego panowania nad całym człowiekiem poszczególnych dziedzin wartości kulturalnych. Trzeba się otrząsnąć z przewagi zjawisk gospodarczych nad naszem życiem, a wtedy **zmienność,** dręczący nas dziś wszystkich okropny koszmar, stanie się czemś naturalnem, nie wszystko i nie wszystkich zagarniać będzie w swe władztwo.

Sta.

Biurokratyzm zwierzęcy

Przyjęło się, że pod miano biurokratyzmu podciągamy każde postępowanie podług pewnych określonych schematów i trzymanie się przepisów tam, gdzie one żadnego nie mają zastosowania. Jest anegdotka o urzędniku biuraliście, która doskonale ilustruje postać biurokraty. Pewien naczelnik biura co rok z początkiem zimy odczytywał urzędnikom polecenie prezesa, ażeby akt nie składali w bliskości pieca. Nawet gdy zaprowadzone zostało ogrzewanie centralne, naczelnik nie zaniechał odczytywania rozkazu prezesa. Gdy jeden z urzędników nieśmiało bąknął, że jest on już nieaktualny, naczelnik zmarszczył jowiszowe brwi i z oburzeniem odpowiedział: „Czy pan przypuszcza, że rozkazy prezesa podlegają tak błahym wpływom, jak centralne ogrzewanie"?

Może czytelnikom wydać się to dziwnem, — ale podobne fakty biurokratyzmu trafiają się i w świecie zwierzęcym. Oczywiście człowiek, który kieruje się rozumem, bardziej jest ośmieszony będąc biurokratą, u zwierząt można właściwie mówić tylko o **dziedzicznych przyzwyczajeniach**, pozostałych po **przodkach**. By jednak sprawę uprościć i rodzajowi ludzkiemu pochlebić nazwijmy to **biurokratyzmem zwierzęcym.**

Każdy kto ma psa może zaobserwować jak przed każdem położeniem obraca się w kółko tam i nazad. Słusznie przypisują to temu, że pies w stanie natury musiał udeptać trawę zanim się położył; przyzwyczajenie, datujące od wielu tysięcy lat przechowało się po dziś dzień i u cywilizowanych potomków. W ten sam sposób należy też tłumaczyć zakopywanie odchodów. Wiele zwierząt drapieżnych ma ten sam zwyczaj co koty i przy zakopywaniu odchodów. Wynika to stąd, że zwierzyna na, którą polują drapieżniki ma niezwykle czuły węch i już zdaleka zwęszy odchody nieprzyjaciela natychmiast ucieka. Ażeby temu zapobiec, zwierzęta drapieżne zakopują swe odchody. Pies i kot z pochodzenia zwierzęta drapieżne zwyczaj ten odziedziczyły po przodkach.

Znany jest fakt samobójstwa skorpjona. Otoczony żarzącemi węglami zabija się przez ukłucie własnym odwłokiem uzbrojonym w kolec z jadem lub chowa się pod żarzące węgle i spala się żywcem. W tym wypadku możemy wytłumaczyć sobie to zjawisko trybem życia jakie prowadzi skorpjon. Jest on zwierzęciem nocnem. W dzień w razie niebezpieczeństwa kryje się zawsze pod kamienie. W tym więc wypadku postępuje, jak zwykle i stara się skryć, przyczem ponosi śmierć.

Natomiast chrabąszcz otoczony żarzącemi węglami nie popełni samobójstwa, nie dlatego żeby był mądrzejszy, ale poprostu dlatego, że ucieka, ulatując w górę. Nie szuka więc kamienia, pod któryby się skrył, ale wzniesionego punktu skądby mógł wyfrunąć.

Ciekawym przykładem dziedzicznych przyzwyczajeń jest n. p. u bydła domowego zachowany zmysł własności. W stanie dzikim prawie każdy gatunek ma pewien ściśle określony rewir na którym poluje. Bydło w stanie dzikim, również miało ograniczoną przestrzeń stepową, czy leśną, gdzie się pasło. Toteż sztuka z obcego stada nie mogła być przyjęta, by nie umniejszać ilości paszy. Ciekawe, że u bydła ta niechęć do osobnika z innego stada dotrwała mimo warunków niewoli do dzisiejszego dnia. Paszy jest teraz podostatkiem, ale zwierzęta kierując się odziedziczonym instynktem wrogo się odnoszą do intruza. Dość wprowadzić tylko nowo zakupioną **sztukę do stajni, czy na pastwisko, a zobaczymy, jak całe** stado niechętnie się do niej **odnosi.**

Podobne cechy odziedziczone po przodkach zauważymy i u innych zwierząt domowych. Tak n. p. wiemy, jak niemiłą wadą jest u konia jego płochliwość i chęć gwałtowna, na oślep ucieczki. Zrozumiemy to, poznając jego pochodzenie. W stanie dzikim koń był zwierzęciem stepowem. W razie niebezpieczeństwa ratował się błyskawiczną ucieczką. Bezkresne stepy nie tamowały zupełnie jego ruchów. Na stepie nie ma ani drzew, ani domów, rowów i t. p. przeszkód. Wolna przestrzeń pozwalała koniowi rozwinąć maksymalną szybkość. Dziś mimo zmienionych warunków w niewoli, koń w razie niebezpieczeństwa, gdy się spłoszy, ratuje się instynktownie, jak jego przodek, dziki koń stepowy, również ucieczką na oślep.

Podobnie dziedzicznem przyzwyczajeniem jest również wstręt byka do czerwonego koloru. Przypuszczamy, że istniał dawniej jakiś groźny zwierz, o czerwonawem futrze, bardzo groźny dla bydła. Najsilniejszy byk w obronie stada stawał zawsze do walki śmiertelnej ze znienawidzonym wrogiem. Podobny wstręt do czerwonego koloru mają również i dzikie bawoły. Tu jednak znamy sprawcę tej nienawiści. Jest nim tygrys pokryty, jak wiadomo, czerwonawem futrem, straszliwy wróg bawołów. Również i wśród bawołów zawsze najsilniejszy byk, przeważnie wódz stada, występuje do walki z tygrysem.

Podobnych przykładów moglibyśmy mnożyć bardzo dużo. Wszystkie one świadczą, jak wielką potęgą są pewne czynniki dziedziczne przekazywane z pokolenia na pokolenie i których nawet zupełnie zmienione warunki nie są w stanie naruszyć.

W. M.

Produkcja bawełny w Sowietach

W polityce ekonomicznej Sowietów, opartej na zasadach samowystarczalności, kwestja produkcji bawełny zajmuje oddawna już wcale niepoślednie miejsce.

Zrozumiemy to łatwo, skoro uprzytomnimy sobie, że do roku 1914 na ogólną ilość 410 tysięcy tonn bawełny, przerabianej we fabrykach rosyjskich, blisko 45 procent pochodziło z zagranicy.

Stosunek ten pogorszył się jeszcze, i to bardzo znacznie po przewrocie: import bawełny do Rosji Sowieckiej w latach 1924—1929 przekraczał 60 procent ogólnej ilości przerabianego surowca.

Nie dziw zatem, że rząd sowiecki dąży wszelkiemi środkami do zwiększenia rodzimej produkcji, by w ten sposób uniezależnić tę gałąź przemysłu od zagranicy, a równocześnie — co jeszcze ważniejsze — zamknąć odpływ gotówki we formie dewiz.

Pod tym względem już pierwsza „piatiletka" przyniosła piękne wyniki: produkcja bawełny, wynosząca w roku 1927 niecałe 245 tysięcy tonn, — wzrosła do 379 tysięcy tonn w roku 1932, czyli o przeszło 50 procent.

Program drugiej piatiletki przewiduje na rok 1937 zwiększenie się tej produkcji o blisko sto procent, bo do 683 tysięcy tonn. Czy jednak program ten będzie możliwy w całości do wykonania, — wydaje się rzeczą bardzo wątpliwą.

Zaczęto od szybkiego zwiększenia obszaru przeznaczonego na uprawę bawełny. Była to typowa gospodarka ekstenzywna, której ujemne skutki rychło dały się odczuć. Prawda, obszar zasiany zwiększył się w ciągu pięciu lat więcej niż trzykrotnie (z 750 tysięcy hektarów w roku 1927 do 2 i pół miljona hektarów w roku 1932), — ale przeciętny plon z hektara ulegał równocześnie stałemu, i to znacznemu obniżeniu. Gdy bowiem do roku 1914 plon z hektara wynosił przeciętnie ponad 12 kwintali, to w roku 1932 spadł do 6,7 kwintali.

Złożyły się na to rozmaite powody. Nie pamiętano o konieczności racjonalnego płodozmianu, gdy zaś kultura bawełny wyczerpuje ziemię bardzo szybko, — zatem i plony stają się z roku na rok uboższe.

Niemałą trudność sprawia też kwestja robocizny: kultura i zbiór bawełny wymaga bezporównania więcej rąk do pracy, niż hodowla zbóż.

Łączy się z tem ściśle kwestja aprowizacji ludności wiejskiej w tych rejonach, gdzie wprowadzona na wielką skalę kultura bawełny uniemożliwia uprawę zboża, ryżu itp., stanowiących dotąd główną podstawę wyżywienia miejscowej ludności.

Władze sowieckie starają się temu zaradzić przez udzielanie plantatorom większych zaliczek i dostarczanie im in natura cerealjów z innych okolic państwa (Kaukazu, Ukrainy, Syberji).

Przejście z dotychczasowej gospodarki ekstenzywnej do jedynie racjonalnej, intenzywnej, wymaga stosowania nawozów sztucznych, zwłaszcza azotowych. I pod tym względem niewiele dotychczas zrobiono, skoro obecnie zaledwie na przestrzeni 350 tysięcy hektarów stosuje się nawozy sztuczne, przeciętnie 60 kg na hektar, a więc w ilości zupełnie niewystarczającej.

Wobec postępującej kolektywizacji gospodarstw rolnych władze sowieckie dążą do zastąpienia pracy rąk ludzkich pracą maszyn, — zarówno przy siewie jak i przy zbiorze bawełny. Maszyny te jednak, typu amerykańskiego, są stosunkowo bardzo kosztowne, a nie nadają się przy mniejszych kulturach, np. w Azji centralnej, gdzie wieśniacy posługują się sprzętem, być może prymitywnym, ale najodpowiedniejszym dla stosunków lokalnych.

* * *

Dwoma głównemi ośrodkami kultury bawełny były oddawna i są dotychczas: Azja centralna (Urbekistan, Turkmenistan, Kirgistan), oraz Transkaukazja (Armenja, Aserbejdżan, Georgja).

Celem zwiększenia obszarów zdatnych pod uprawę bawełny rząd sowiecki przeprowadził w tych okolicach kosztowne i na wielką skalę zakrojone prace irygacyjne, których rezultat jednak zawiódł oczekiwania.

Dlatego zaczęto szukać nowych odpowiednich terenów: na Ukrainie, Krymie i w dolnem dorzeczu Wołgi. Pokazało się jednak, że warunki klimatyczne nie są tam zbyt odpowiednie: dojrzewanie następuje znacznie później a bawełna jest znacznie gorszej jakości.

Mimo wszystko stwierdzić trzeba, że dotychczas już zrobiono bardzo wiele. I choć do samowystarczalności gospodarczej w tej dziedzinie Sowiety jeszcze nie doszły, — to jednak już obecnie w światowej produkcji bawełny Rosja sowiecka, stojąca przed wojną na piątem miejscu, wysunęła się na trzecie miejsce, — o ile wierzyć można oficjalnej statystyce, coprawda bardzo trudnej do skontrolowania. *(R.)*

Nieznane utwory Liszta

Węgierski pianista Stefaniai przystępuje do zaznajomienia węgierskiej publiczności z nieznanemi dotychczas kompozycjami Liszta. Utworów tych jest około dwustu, a rękopisy ich znajdują się przeważnie w muzeum w Weimarze, podobnie, jak oryginał marsza Rakoczego, którego lżejszą i prostszą wersją jest sławna rapsodja 15. Oryginał ten, obecnie odfotografowany przez Stefaniai'a i wystawiony na widok publiczny w Budapeszcie, nosi węgierską dedykację: „Moim rodakom, panom hr. Leonowi Festeticsowi, Augustowi Antalowi, baronowi Pawłowi Banffy'emu, hr. Domokorowi Teleki, Pawłowi Nyary i Pawłowi Edesteinowi z wdzięczności jako pamiątkę stycznia r. 1840, spędzonego w Peszcie, ofiaruje Franciszek Liszt". Jest więc manuskrypt ten dowodem patrjotyzmu Liszta, którego niesłusznie pomawiano czasem o wynarodowienie się zagranicą.

Wersję tę marsza Rakoczego wykona Stefaniai po raz pierwszy podczas uroczystego koncertu w Klubie Międzynarodowym w Budapeszcie, 5. czerwca. W programie biorą udział śpiewaczka duńska Helga Roszwange i włoska skrzypaczka Wanda Luzzato, a z nieznanych utworów Liszta będą również wykonane „Czardasz makabryczny" i szereg pieśni węgierskich.

N. P.

Słownik Akademji Francuskiej

Z końcem czerwca r. b. przypada trzechsetlecie istnienia Akademji Francuskiej. Jak wiadomo, poświęca ona swe posiedzenie, odbywające się raz na tydzień, przygotowaniu nowej edycji wielkiego słownika francuskiego. Będzie to ósme wydanie od czasu jej powstania. Siódme pochodzi z r. 1877. Pierwsza część ósmego wyszła przed sześciu laty.

Akademicy pracują bardzo powoli i zdarzało się nieraz, że podczas posiedzenia przedyskutowali zaledwie parę wyrazów. Obecnie jednak musieli przyspieszyć tempo. Idzie o to, aby w rocznicę wręczyć prezydentowi Rzeczypospolitej pierwszy egzemplarz, a z początkiem maja udało się dojść dopiero do wyrazów, zaczynających się ur.

Akademja nie ma obecnie pełnego składu. Dwa miejsca są nieobsadzone, a pięciu wybranych w ostatnich czasach nieśmiertelnych jeszcze nie odbyło ceremonji przyjęcia, więc nie mają prawa uczestniczenia w posiedzeniach. Zamiast 40 jest więc właściwie tylko 33 członków.

Z wędrówki po filmowem miasteczku

(Echa Międzynarodowego Kongresu Filmowego w Berlinie

Długi szereg dwupiątrowych autobusów i aut mknie wspaniałemi drogami, wioząc do Neubabelbergu, siedziby „Ufy“, 2.000 uczestników Międzynarodowego Kongresu Filmowego w Berlinie.

Zdala już widać olbrzymi kompleks zabudowań, dziwacznych budynków, wież, fasad pałaców, wspaniałych klasycznych gmachów — wielkie miasteczko o dziwacznej mieszaninie budowli, służących za tło do zdjęć kinematograficznych.

Zajeżdżamy w obręb miasteczka „Ufy“. Dzielą nas na grupy i rozpoczyna się wędrówka.

Kierownictwo „Ufy“, pragnąc dać uczestnikom Kongresu możliwie najdokładniejszy obraz rozwoju kinematografji i pokazać system jej pracy, zorganizowało ze swych zbiorów specjalną wystawę. Przebieg produkcji surowego filmu, rysunku kostjumów i modele dekoracyj, rozmaite aparaty do zdjęć, przejrzysta statystyka produkcji filmowej — wszystko to pięknie i umiejętnie rozplanowane budzi duże zainteresowanie zwiedzających.

Po tym pouczającym wstępie zwiedzamy poszczególne zakłady „Ufy“.

Potężna elektrownia zasila swym prądem to miasteczko filmowe. Energja jej zasila nietylko niezliczone reflektory, ale i liczne maszyny w warsztatach przygotowujących dekoracje.

Właśnie prowadzą nas do pracowni dekoratorskich. Tu wśród stukotu młotów i warkotu maszyn wykuwa się starożytne zbroje do jakiegoś historycznego filmu, tam znowu stolarze i rzeźbiarze przygotowują misterne modele rzymskich okrętów, w innym znów dziale tworzy się naturalnej wielkości posągi starożytnych bogów, przy gotowuje się kolumny do budowli starożytnych i odtwarza rzeźby.

Wchodzimy z kolei do budynku, będącego rodzajem stacji biologicznej. Tu odbywają się zdjęcia do tzw. filmów kulturalnych, cieszących się w dzisiejszych Niemczech szczególną opieką miarodajnych czynników.

Zadaniem tego działu produkcji filmowej jest w sposób interesujący, a równocześnie pouczający przedstawić rozmaite problemy kulturalne. Pokazywano taki film kulturalny w kinie Ufy. Tematem jego była rola i znaczenie żelaza w życiu człowieka. Tego rodzaju filmami pragnie się zastąpić najrozmaitsze, niejednokrotnie bez większego znaczenia i większej wartości uzupełnienia programów. Przez produkcję filmów kulturalnych i rozpowszechnianie ich w innych krajach pragną Niemcy podkreślić równocześnie swoje „pokojowe“ tendencje i swoją gotowość do wspólnej, ogólnoludzkiej pracy nad rozwojem ludzkości.

Ale powróćmy do naszej wędrówki w Neubabelbergu.

Właśnie w wspomnianej stacji biologicznej robią zdjęcia do jakiegoś filmu. W jednej części atelier filmują jakiegoś ptaszka, w drugiej zaś siedzi na stołku w blasku reflektorów mały pies, z którym wyczyniają dziwne sztuczki, chwytane równocześnie na taśmę.

A teraz zaczynamy krążyć pomiędzy fasadami najrozmaitszych pałaców i gmachów. Wchodzimy w zaułki jakichś chińskich miast, by znowu za chwilę znaleźć się na wiedeńskim bruku. Tu z zakrętu uliczki wyłania się przed nami piękny pałac w stylu rococo, a mijając go wchodzimy nagle do... Szanghaju i stajemy przed fasadą szanghajskiego dworca. Idziemy dalej, droga prowadzi na odmianę ulicami rosyjskiego miasteczka. Nagle spostrzegamy nad sklepami napisy w języku polskim.

Wszystkie te budowle są naturalnej wielkości, oczywiście same fasady z drzewa, pokryte płótnem obrzuconem gipsem i wapnem. Niektóre, spełniwszy swe zadanie dekoracyjne, powoli niszczeją, inne rozbiera się i przebudowuje na jakiś nowy gmach.

Wyszedłszy z tej mieszaniny miast, zebranych tu razem z najrozmaitszych części świata — przez dekoratora — architektę, idziemy ku wspaniałym budowlom starożytnego świata. Potężne świątynie o wspaniałych kolumnach, świeżo przygotowane przez dekoratora, robią niezwykłe wrażenie. Grupy zwiedzających ustawiają się na stopniach świątyni, trzaskają aparaty i wszyscy odchodzą uradowani, że za jednym zamachem będą uwiecznieni na tle rzymskich budowli. Inni szukają tła bardziej interesującego, ustawiając się przed wspaniałym okrętem rzymskim... na kółkach.

Wchodzimy do głównego atelier. Tu kręcą równocześnie dwa filmy. Ruch i krzątanina.

Jeden film historyczny z czasów starożytnych p. n. „Amfitrjon“, zadziwia ogromem swych dekoracji i tłumem statystów. Na środku potężny posąg Zeusa, dokoła las kolumn, wspaniałe schody.

Drugi film to jakaś historja z Tyrolu. Przechodzimy przez szereg izb urządzonych w stylu ludowym, mijamy wzmiankowanych artystów.

Nagle sygnał: cisza. Obok odbywa się filmowanie. Aktor powtarza kilkakrotnie jakąś krótką scenę na tle górskiego krajobrazu.

Znowu poprzez labirynt pokoików-dekoracji odbywamy powrotną drogę. Przed bramą oddział rycerzy w starożytnych strojach. Dowodzi nimi... oficer w czarnym mundurze hitlerowskich S.S. Widocznie statyści, to oddział tej organizacji.

Zmęczeni tą kilkugodzinną wędrówką z radością zasiadamy do stołów zastawionych w jednym z atelier, przepięknie na tę uroczystość udekorowanym. Przy dźwiękach doskonałej orkiestry symfonicznej „Ufy“ mile płyną chwile przerywane od czasu do czasu obowiązkowemi przemówieniami.

* * *

Niemiecka kinematografja, dzięki swej wspaniałej organizacji i olbrzymim środkom stanowi dziś niewątpliwie najpoważniejszy ośrodek europejskiej produkcji filmowej.

Rządy hitlerowskie, reorganizując i przebudowując życie narodu niemieckiego, nie zapomniały i o filmie. Stał on się jednym z głównych środków propagandy niemieckiej. Otoczona troskliwą opieką czynników rządowych, a w szczególności min. Goebelsa, kinematografja niemiecka przygotowuje się do silnej ekspanzji.

Interesujące są poglądy min. Goebelsa na rolę i znaczenie sztuki filmowej w życiu narodowem. Dał on mu wyraz w przemówieniu swojem, wygłoszonem na zamknięcie kongresu.

Goebels domaga się od filmu spełnienia całego szeregu zasad, jak zerwania ze sceną, stania się sztuką ludową, dążenia do dania nam nowego artystycznego wyrazu naszego życia.

Sztuka kinematograficzna by mogła spełnić te swoje wielkie zadania, musi zdaniem dr. Goebelsa stać się, jak każda prawdziwa sztuka, wyrazem kultury danego narodu. Tylko bowiem sztuka będąca u podstaw swych narodową może stać się sztuką o wartościach ogólnoludzkich.

Żałować należy, że polska produkcja kinematograficzna, nie może jeszcze dotąd znaleźć człowieka, któryby ją wyprowadził z żydowskiego bagna, dokąd nieopacznie zabrnęła.

„Szczury, wszy i historja”

Pod powyższym tytułem ogłosił prof. Hans Zinsser w Londynie, oryginalne, miejscami dziwaczne studjum na temat wpływu, jaki zaraźliwe choroby, higjena i medycyna, wywarły na wynik wojen i wogóle na bieg dziejów ludzkości, zwłaszcza w dobie wojny światowej i bezpośrednio po niej. Mówi się wiele o świetnych posunięciach strategicznych i strategicznych błędach, o czynnikach ekonomicznych, o wynalazkach z dziedziny uzbrojenia i na tej podstawie ustala się przyczyny wygrania tej wojny przez koalicję. A zapomina się o tyfusie plamistym i stworzeniach, które go przenoszą.

Jednem z nich jest szczur. Lecz ten sam nie ulega straszliwej chorobie. Los wszy jest tragiczniejszy, gdyż tyfus i ją zabija. Ludzie ją przeklinają za szerzenie zarazy, ale stosunek dałby się ująć odwrotnie:

Dla wszy my jesteśmy straszliwymi posłańcami śmierci. Prowadzi ona względnie nieszkodliwy żywot — będący wynikiem wieków przystosowywania się do warunków. Wtem, jak piorun z jasnego nieba, spada epidemja. Jej gospodarz popada w chorobę i jedyny świat, jaki wesz znała, staje się pełen zarazy i śmierci. A jeżeli wskutek okoliczności, które od niej nie zależą, jej zarażone ciało przeniesie się do innego gospodarza, na którego ona z kolei przenosi chorobę, czyni to ona bez winy, lecz tylko z nieodpartej potrzeby pokarmu, ze śmiercią już we własnych wnętrznościach. Wesz powinnaby, chociażby jako towarzyszka niedoli, budzić trochę sympatji i względów.

Widzimy, że autor jest naukowcem, (czy zresztą wybitnym, tego laik nie potrafi ocenić), a równocześnie dziwakiem z literackiemi aspiracjami. Szuka niezwykłych efektów. Ładnieby była ludzkość wyglądała w czasie wojny światowej, gdyby zdecydowała się była na okazywanie śmiercionośnym nasorzytom „sympatji i względów“! Przeciwnie, musiała przeciw nim zastosować naukowe środki, zmierzające do masowego tępienia. A i tak, jak zobaczymy, poniosła olbrzymie straty.

Opanowany swą groteskową manją literacką prof. Zinsser ujmuje temat w formę ciągnącego się przez długie wieki życiorysu wszy jako rodzaju. Na szczęście raz za razem musi odstępować od tej niefortunnej formy — i te ustępy są w książce najlepsze. Byłoby jej wyszło na korzyść, gdyby cała pisana była po prostu, bez sentymentalnych hymnów na cześć wstrętnego, a niebezpiecznego żyjątka i bez tym podobnych niesmacznych efektów.

Bo autor ma naprawdę coś do powiedzenia. Wedle niego trąd wygasł w Europie, ponieważ prawie wszyscy trędowaci jako najmniej odporni wyginęli podczas powszechnej epidemji dżumy w XIV w. Cofając się jeszcze dalej w pomrokę wieków, twierdzi, że wojny punickie mogły były wziąć inny obrót, gdybv nie epidemja, która przeszkodziła Kartagińczykom w zupełnem opanowaniu Sycylji — byliby w takim razie posiedli podstawę operacyjną przeciw Rzymowi, jakiej im zabrakło.

Skąd bierze się tyfus? Na to pytanie odpowiada Zinsser: Z nędzy, brudu i upadku kultury. — Na tej postawie porównywa Niemcy w okresie wojny trzydziestoletniej z Rosją w pierwszych latach rządów bolszewickich. Nie umie podać dokładnej statystyki, gdyż rozmaicie obliczano cyfrę zmarłych tam na tyfus w latach 1917—21, ale stwierdza, że waha się ona między 2 a 3 i pół miljona. Straszliwe żniwo!

Zdaniem autora koalicja zawdzięcza wygranie wojny tyfusowi. Z początkiem roku 1915 Austrja byłaby opanowała całą Serbję, ale bała się to uczynić z powodu panującej tam epidemji. Byłoby doszło do opanowania przez państwa centralne półwyspu Bałkańskiego, zyskania połączenia z Turcją i przewagi na Morzu Śródziemnem. Tymczasem Austria i Niemcy straciły sześć miesięcy czasu w okresie najkrytyczniejszym dla koalicji, która skorzystała ze zwłoki i zabezpieczyła się przed groźnym ciosem.

Te hipotezy brzmią dość nieprawdopodobnie, ale niewątpliwie trzeba w nich uznać pewien procent słuszności. Pełną słuszność ma Zinsser, gdy mówi, że dzisiejsza wojna ma w sobie tylko 25 procent czynników wojskowych, a 75 procent technicznych i sanitarnych. Odwagę, z jaką szła do boju armja Stanów Zjednoczonych, przypisuje świadomości, że na tyłach oczekują rannych zmobilizowani w tym celu najlepsi chirurgowie Ameryki.

Co do przyszłości Zinsser jest pesymistą:

Tyfus nie umarł. Będzie żył jeszcze przez długie wieki i będzie szalał dowoli, ilekroć ludzka głupota i brutalność dadzą mu sposobność — a najprawdopodobniej będzie się to zdarzało.

A. E.

Spór o koronę

Rumunja, Węgry i Czechosłowacja żądają dla siebie jednej z koron, pozostałych po Habsburgach. Najsilniej ugruntowanemi wydają się pretensje Jugosławji, która powołuje się na klauzulę traktatu w St. Germain, gwarantującą jej zwrot korony cara Łazarza, poległego w r. 1389 na Kosowem Polu. Atoli dr. Plauschning, mający nadzór nad wiedeńskiemi klejnotami koronnemi, twierdzi, że korona cara Łazarza wogóle nie istnieje, a ta, której domaga się rząd jugosłowiański, pochodzi z końca w. XVI., jest tureckiej roboty i w stylu barokowym. Należała ona do księcia siedmiogrodzkiego Stefana Bocskay'a, po którego pokonaniu przez Austrję dostała się do wiedeńskiego skarbca. W r. 1870 sporządzano spis habsburskich klejnotów koronnych i wówczas błędnie uznano koronę za serbską, dodając notę, że wedle słowiańskich archeologów pochodzi [illegible] 1389.

Podlwowskie zbójniki

Stosunki bezpieczeństwa na terenie województwa ruskiego u progu XVII. stulecia uległy znacznemu pogorszeniu, toteż była ta ziemia widownią licznych, zbrodniczych występów zorganizowanych band zbójeckich, niosących przeważnie w zaciszne, wiejskie sadyby nieopisaną trwogę, która nie była mniejszą od tej, jaką niecily skłębione watahy tatarskie, znaczące ślady swego pochodu krwią i zniszczeniem niewinnej, bezbronnej ludności, pożogą jej sadyb, zgliszczami i ruiną całego jej dobytku. Trwożnym rozgwarem rozbrzmiewała tedy ziemia przemyska i sanocka, gdzie rozboje i napady na dwory i sioła były niemal codziennem zjawiskiem. Górale z granicznego pasma karpackiego pod wodzą przy godnych hersztów tworzyli ciężką plagę tych podgórskich ziem.

Miała i podlwowska ziemia swych zbójników. Plagą Lwowa byli bracia Białoskórscy, synowie burgrabiego Wysokiego Zamku, podobną plagą podlwowskiej okolicy byli później bracia Policcy.

Sokolniki — miejscem wypadowem niebezpiecznej szajki.

Nosiła tedy cierpliwie lwowska ziemia duże zastępy łotrzyków w pierwszej połowie XVII. stulecia, — i szeroko rozbrzmiewała trwożliwym rozgwarem ich przestępczych czynów, pozostających w niemałym konflikcie z paragrafem karnym. Pełni tupetu i pewni bezkarności grasowali przeważnie w najbliższej okolicy Lwowa, czyniąc z tego terenu widownię zbrodniczych zajść, rozlegających się niekiedy głośnem echem wśród murów lwowskiego grodu czy też na sali sądowej. Na jednej z takich rozpraw złożył pewien świadek charakterystyczne zeznanie:

„niebezpiecznie było z miasta wychylić się i na drogę pokazać, ale raczej potajemnie, ostrożnie i w niemałej kupie trzeba było przebywać, alias szczęśliwy, kto bez szkody został i zdrowo się wrócił"...

Na szalę dnia szarego czy ciemnej nocy podlwowskie bandy zbójników rzucały wciąż nowe swe przewiny: nocne najazdy, połączone z przelewem krwi, napady rabunkowe, mordy, podpalania, wymuszania, grabieże — to liczne ogniwa, wiążące się w jeden łańcuch zbrodni, bynajmniej nierozrywany przez powołane władze w drobne okruchy. Zbójeckie bandy z podlwowskich wsi, jak n. p. ze Sokolnik, zapuszczały swe zagony aż w przedmieścia grodu, a nawet i w jego murach ważyły się na krwawe, śmierć niewinnej ludności niosące występy.

Najniebezpieczniejszą z tych band tworzyli dwaj bracia Policcy.

którzy grasowali pod Lwowem w ciągu dwu lat w trzecim dziesiątku XVII. stulecia. Bandę zorganizował szlachcic Jakób Policki wraz z 17-letnim swym bratem, który pomimo tak młodego swego wieku pod względem potworności występów pozostawiał poza sobą towarzyszy.

Podlwowska wieś Sokolniki stanowiła dla braci Polickich punkt oparcia, z opłotków tej wsi zorganizowali oni swe wypady wraz z kilku klejnotowymi towarzyszami i kilkunastu chłopami, pochodzącymi ze Sokolnik. Rozprawa sądowa przeciw jednemu z tych podmiejskich zbójników, była ogólnym głosem ich potępienia. Jednym i tym samym był tenor zeznań wszystkich świadków, którzy zeznawali, że okolice Kulparkowa, Sokolnik i innych podlwowskich wsi nie miały w ciągu dwu lat spokoju tak od samych Polickich, jak też i od ich „służków". I jak mówili: „większy i cięższy mieliśmy strach przed nimi",

jak od nieprzyjaciela,

bo musiał się każdy z nas zawierać w domach, rzadko kto się wysiedział w pokoju, każdy się z nas ...ał z domu na drogę wychylić i jechać i przed domem nawet stać. Całe dwielecie takie zbrodnie robili bez przestanku, domy najeżdżali, po gościńcach plondrowali, zajeżdżali i obdzierali z pieniędzy i sukien"...

Obszerna karta karna sokolnickich łotrzyków.

Długą była karta ich przewin. Skarżyła się tedy Jej Mość Pani syndykowa **Krzysztanowiczowa**, mieszczka lwowska, iż do pasieki jej, leżącej na ustroniu przedmieścia, wpadli bracia Policcy, a gdy zamieszkali tam trzej słudzy łotrzykom opór stawili, padli z ich rąk. Napastnicy w pasiece pochowali ich zwłoki, a złupiwszy domostwo doszczętnie, zbiegli bez śladu.

Jan Małachowski z Woli Stenclowskiej, oskarżył Polickich o najazd i zabicie syna Stanisława, który zginął skutkiem pomyłki zbójników.

Wójt sokolnicki Guz-członkiem bandy.

Kto inny miał paść z ręki sokolnickich łotrzyków: Maciej Rogowczyk, dziesiętnik z Woli Stenclowskiej. Na niego to banda napadła, gdy w nocy szedł ze Skniłowa i ciężko go pobiła. Przewodził wówczas bandzie wójt sokolnicki, Guz, który widząc leżącego na ziemi ciężko pobitego Rogowczyka, rzekł do swych towarzyszy: „już ma dość, bo umarł i nie żywi" Po dłuższym czasie Rogowczyk powlókł się do swej zagrody, a gdy nazajutrz banda przejeżdżała przez wieś, jeden z nich zauważył siedzącego na płocie zagrody Pawełka Karczmarza mieszczeninego Stanisława Małachowskiego, który wyglądem swym wielce przypominał pobitego w nocy Rogowczyka. „A tuś ty!" — krzyknął Jakób Policki — i celnym strzałem położył go na miejscu.

Sporo i innych skarg wypłynęło przeciw braciom Polickim na owej rozprawie. Władysław Przybyłko oskarżał Polickich o nocny najazd na swą zagrodę, rabunek i ciężkie pobicie brata, — w czasie nocnego napadu na dom Mikołaja Sobolki, obronił wymienionego syn jego ksiądz, który znał obu braci Polickich.

Grasowali oni i na terenie lwowskiego grodu,

gdzie pod murami kościoła Marji Magdaleny z rąk Jakóba Polickiego padł dobosz Jego Królewskiej Mości.

Policki zatrzymał dobosza przed kościołem i zagadnął go:

— „Coś ty za drab?"

— „Ja nie drab, ale dobosz Jego Królewskiej Mości" — odpowie żołnierz...

— „Dobosz, dobosz." — powtarza Policki i wśród tych słów ciął go w szyję tak silnie, iż dobosz padł na miejscu.

Dopełniła się miara nieprawości.

Niebawem nastąpił zmierzch szajki, która przez dwa lata grasowała bezkarnie po okolicy podlwowskiej. W r. 1625 zlikwidowaną została nie przez powołane ku temu czynniki, ale przez odwet napadniętych. Oto pewnego dnia zapędzili się Policcy aż na ulice Lwowa i tam przed domostwem Kapinosów koło kościoła OO Bernardynów wszczęli zwadę, w czasie której Jakób Policki zastrzelił Stanisława Glembockiego.

Bracia zabitego wzięli krwawy odwet!

Dwaj bracia zabitego Stanisława, Mikołaj i Paweł Glemboccy ścigali uchodzących z miasta Polickich a stwierdziwszy iż ukryli się oni u swej macochy Sarnowskiej w Hodowicy pod Lwowem, gdzie mieściły się składy rzeczy, zrabowanych przez bandę, urządzili zbrojny najazd na dom Sarnowskiej. W zaciętej walce, w której padła młoda i nadobna córka Sarnowskiej, Glemboccy pojmali Andrzeja Polickiego, którego dostawili do więzienia w ratuszu.

Niebawem stanął przed sądem młodociany łotrzyk i bronił się krótko a węzłowato: „nie znam się do tego, nie winie, nom nic!" Nie został jednak osądzony, gdyż nie był przytrzymany na gorącym uczynku, a napadów dokonywał nie w mieście, ale w okolicy, która podlegała jurysdykcji starosty lwowskiego. Toteż starosta Mniszech kazał zabrać go z więzienia miejskiego i osadzić w więzieniu zamkowem, z którego Policki w niedługim czasie wyszedł na wolność i okazywał w najbliższym czasie duży tupet w oskarżaniu tych, którzy spowodowali jego aresztowanie. Natomiast towarzysz Polickich, Ostrowski, przytrzymany w mieście „in recenti, manuali facto" poniósł śmierć z ręki kata.

Nieznane są dalsze losy braci Polickich, których nazwiska nie wypływają już później na kartach ksiąg sądowych.

a. m.

Promienie Roentgena i ich znaczenie

we współczesnej medycynie

Upłynęło czterdzieście lat od chwili odkrycia przez Roentgena tajemniczych promieni X, znanych dzisiaj powszechnie pod nazwiskiem ich odkrywcy.

Dzięki wytrwałej pracy, dzięki licznym doświadczeniom, przeprowadzanym niejednokrotnie z dużem poświęceniem i narażeniem własnego zdrowia a nawet i życia, — zdołali uczeni badacze zdefinjować wszystkie charakterystyczne właściwości tych promieni, — i zaprząc je do służby dla zdrowia ludzkości.

Dziś trudno sobie wyobrazić przeciętny, nowocześnie urządzony szpital czy klinikę, która mogłaby się obejść bez aparatu Roentgena.

Szeroka publiczność niezbyt dokładnie jednak orjentuje się w istocie tych promieni i możliwości ich stosowania. Skłonną jest raczej widzieć w nich pewnego rodzaju panaceum na wszystkie choroby, — przeceniać ich, — wielką coprawda i niezaprzeczoną wartość.

Faktem jest, że promienie Roentgena wzbogaciły nowoczesną terapję o nowy atut, że dzięki nieustannemu doskonaleniu materjału i techniki ich zakres działania ustawicznie się rozszerza; temniemniej jednak stwierdzić trzeba, że w obecnym stanie rzeczy stanowią one zaledwie jeden, i to nie najważniejszy rodział wiedzy lekarskiej.

Dwie są domeny, w których promienie Roentgena znajdują szerokie zastosowanie: djagnoza i terapja.

O ile idzie o djagnozę, to medycyna wyzyskuje charakterystyczną właściwość tych promieni, tj. ich zdolność przenikania przez ciała organiczne, — podczas gdy ciała mineralne przepuszczają je w znacznie mniejszym stopniu, a substancje metaliczne nie przepuszczają ich zupełnie.

Dzięki tym właściwościom promienie Roentgena oddają nieocenione usługi, kiedy idzie o wykrycie jakiegoś obcego ciała (np. kuli lub jej odłamków) w organiźmie ludzkim, o stwierdzenie złamania czy zwichnięcia kości, lub wreszcie jakichś zmian chorobowych rozwijających się w szkielecie kostnym, jak narośle itp.

Znanem jest też powszechnie stosowanie roentgenografji w chorobach płucnych (gruźlicy), serca, przewodu pokarmowego, wątroby, nerki, prostaty i t. p.

We wszystkich tych wypadkach jednak roentgenografja spełnia tylko rolę pomocniczą, — jest raczej uzupełnieniem innych metod badania. Pamiętać bowiem trzeba, że dzięki promieniom Roentgena, możemy ujrzeć zaledwie — mniej lub więcej wyraźną — sylwetkę danego organu, a rzeczą lekarza będzie postawienie odpowiedniej djagnozy i wyciągnięcie właściwych wniosków z uzyskanego tą drogą obrazu.

Dodać trzeba, że wiedza lekarska znalazła już cały szereg środków, dzięki którym roentgenografja znajduje coraz szersze zastosowanie i oddaje coraz większe usługi. Starano się mianowicie z jednej strony zwiększyć w ciałach organicznych zdolność przepuszczania promieni Roentgena, by uzyskać obraz możliwie jasny i wyraźny, — z drugiej zaś strony zrobić nieprzenikliwemi na te promienie pewne organy, wypełniając je substancjami mineralnemi.

Dzięki tym ulepszeniom stało się możliwem robienie roentgenogramów np. z żołądka, przewodu pokarmowego, nerki, płuc, rdzenia pacierzowego i t. p.

* * *

Druga, ważniejsza może domena, to tzw. roentgenoterapja, przy której idzie w pierwszej linji o wyzyskanie własności destrukcyjnych promieni Roentgena.

Promienie te, działając na żywe komórki organizmu, wywołują przejściowe lub stałe zahamowanie ich czynności biologicznych, aż do zupełnego ich zniszczenia.

Obowiązuje tu zasada biologiczna, wedle której najbardziej wrażliwemi na działanie promieni Roentgena są komórki stosunkowo najmłodsze i najmniej zróżnicowane. Te właśnie cechy posiadają przedewszystkiem komórki każdego nowotworu, a więc komórki patologiczne. Natomiast komórki normalne, zdrowe, są stosunkowo znacznie mniej wrażliwe na działanie promieni Roentgena.

Znając te właściwości promieni, możemy zorjentować się, w jakich wypadkach roentgenoterapja jest wskazaną i może dać pomyślne wyniki.

Zasadniczo stosuje się trzy rodzaje tych promieni: 1) promienie „miękkie", gdy idzie o terapję powierzchowną, jak leczenie rozmaitych chorób skórnych 2) promienie średnio twarde przy terapji „półgłębokiej" organów niezbyt głęboko położonych, a bardzo na te promienie wrażliwych (gruczoły chłonne, śledziona itp.), oraz 3) promienie „twarde", przenikające w głąb ciała, a szczególnie skuteczne przy leczeniu złośliwych nowotworów, przedewszystkiem raka, którego komórki są bardzo mało odporne na zabójcze działanie tych promieni.

I tu jednak nie można uważać roentgenoterapji za zawsze niezawodny środek. Tylko lekarz może zdać sobie sprawę, czy jest rzeczą technicznie możliwą skupienie odpowiedniej ilości promieni R. w ognisku chorobowem, bez uszkodzenia otaczającej zdrowej tkanki. Tylko lekarz może też ustalić, czy ogólna konstytucja pacjenta, okres choroby, jej umiejscowienie i rodzaj, pozwalają na zastosowanie naświetlań promieniami R. i rokują pożądany rezultat.

Pamiętać bowiem należy, że promienie R. wywołują z reguły liczne zmiany następowe zarówno na skórze jak i w całym organiźmie, jak uszkodzenie żywych komórek (wypadanie włosów, objawy zapalenia skóry, obrzęki, nawet bolesne i trudno gojące się wrzody) — dalej rodzaj osłabienia i objawy ostrego zatrucia.

Jak z tego wynika, — promienie Roentgena to broń, w wielu wypadkach skuteczna, a nawet niezawodna — ale broń obosieczna, z którą obchodzić się zdoła tylko dobry fachowiec.

(dr. L.)

SWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Kostjum tailleur jest ciągle jeszcze faworytem sezonu. Zarówno do podróży jak i do sportów, na przed — i popołudnie.

Spódniczka przy nim dość krótka, wąska zazwyczaj z rozcięciem z boku. Żakiecik bardzo krótki, do bioder, z paskiem lub bez. Mogą one być z przodu otwarte, odsłaniając bluzkę, — ale równie dobrze mogą być zupełnie zakryte, zapinane na jeden duży guzik z boku.

— Okrycia „trois-quarts", dość liczne, sięgają do kolan lub nieco niżej nawet. Krój przeważnie raglanowy, kołnierze fantazyjne, wiązane w duże kokardy. Paski, o ile są, to albo z tego samego materjału, albo z błyszczącej lakierowanej skóry.

— Przy okryciach „trois - quarts" dużą rolę gra kołnierz, jako ważny element dekoracyjny. Może on być bardzo szeroki i wysoki, może być niski, stojący, oficerski, — może go wreszcie nie być zupełnie. Wszystko zależy od długości szyi i od ogólnej sylwetki.

— Z materjałów najmodniejsze są tafty i faille. Robi się z nich zarówno suknie i płaszcze, jak kostjumy tailleur, bluzki, kapelusze, a nawet... rękawiczki.

— Prawdziwie dystyngowanie wygląda biała pikowa bluzeczka, z niskim stojącym kołnierzykiem, do czarnego kostjumu tailleur.

— Wogóle biała pika cieszy się ogromnem powodzeniem. Przybiera się nią ciemne suknie, pod postacią kołnierzyków, rabatów, manszetów.

— Pelerynka stanowi nieodzowne uzupełnienie każdej sukni a nawet kostjumu.

Skromniejsze, z białej piki wyglądają ślicznie przy toalecie z czarnego jedwabiu. Zresztą robi się je ze wszystkiego, począwszy od tiulu, organki, muślinu, aż do wełny i futra. Do strojnych sukien wieczorowych — z piór strusich czy kogucich, naszywane dyskretnie pailletkami.

— Kaprysem mody są maleńkie serca z różowego koralu, zawieszone na cieniutkiej wstążeczce na szyi.

— Amatorki kąpieli i słońca powitają z radością nowe kostjumy kąpielowe, pozbawione zupełnie szelek, a sporządzone z elastycznego materjału „lastex". Kostjumy takie zapewniają zupełną swobodę ruchów we wodzie, pozwalają na pełne i równomierne opalanie, a dzięki swej strukturze przylegają znakomicie do ciała.

— Kombinacja czarne - białe króluje znowu, jak zresztą co roku. Zwłaszcza dużo widzi się tiulu i organdi czarnego, nakrapianego w drobne białe groszki. Ładne to i dystyngowane.

— W najnowszych kolekcjach widzimy „capuchons", dające się podnosić, a służące do osłonięcia głowy, czy to przed deszczem, czy przed silnym wiatrem, czy wreszcie przed zbyt ostremi promieniami słońca.



Zgrabny kostjum wełniany jasno bronzowy w ciemniejsze prążki.



Pod znakiem bluzki

Wobec ogromnej popularności kostjumów „tailleur" — przyszła obecnie moda na bluzki. Nosi się je do wszystkiego i przez cały dzień.

A więc: przedpołudniem klasyczna bluzka skromna, naśladująca krojem męską koszulę, następnie bluzki — kamizelki z białej piki, bluzki fantazyjne z tafty, muślinu, crepe-romaine oraz z koronek.

Dekolt niewielki, rękawy z reguły tylko do łokcia, krojem kimonowym.

Na popołudnie bluzki strojniejsze, suto przybierane żabotami, krezami, zmarszczkami.

Ostatnią modą są sztuczne kwiaty sporządzone z tego samego materjału co suknia, względnie o kilka odcieni ciemniejszego. Kwiatkami takiemi przybiera się zakończenia rękawów, względnie robi się z nich wdzięcznie wyglądające krezy dokoła szyi.

Coraz więcej widuje się bluzek, przypominających krojem i przybraniem koszule huculskie. Moda to bardzo miła i oryginalna, zasługująca na jak największe rozpowszechnienie. Mamy przecież tyle ślicznych i oryginalnych haftów ludowych, które mogłyby tu znaleźć szerokie zastosowanie. Będzie to i ładne i oryginalne, a w ten sposób przyczynimy się do rozwoju naszego, tak zaniedbanego obecnie, przemysłu ludowego.

Kącik kosmetyczny

Zaczyna się sezon „opalania". Przez szereg miesięcy ambicją każdej kobiety będzie... przypominać wyglądem swym murzynkę. Poprostu nie znamy na tym punkcie miary; nie wystarcza nam już cera żółta, tęsknimy za... czekoladową, hebanową prawie.

Otóż trzeba sobie uprzytomnić, że i tutaj, jak wszędzie zresztą, wszelka przesada jest szkodliwa. Pod dłuższem działaniem promieni słonecznych naskórek na twarzy twardnieje, niejednokrotnie pojawiają się brzydkie plamy, których usunięcie jest niełatwe. Naczynia włoskowate, pod wpływem promieni słonecznych, mogą nawet pękać, skóra na twarzy wysycha, ułatwiając tworzenie się zmarszczek.

Nie wystarcza tu nawet nasmarowanie twarzy jakimś kremem, by zapobiec tym przykrym następstwom zbyt intenzywnego „opalania się".

Zatem, piękne panie, opalajcie się dowoli, — ale nie zapominajcie przy tem o osłonieniu twarzy kapeluszem lub parasolką!

Hinduskie „sari"

Uroczystości jubileuszowe angielskiej pary królewskiej dały początek nowej egzotycznej modzie, której pierwowzoru szukać należy aż w ...Indjach.

Jest to mianowicie kostjum indyjskich księżniczek, zwany „sari", noszony zresztą i przez Hinduski, należące do średnich i niższych klas społecznych: powłóczysta, obcisła suknia, skrojona w ten sposób, że jeden z jej fałdów można owinąć dokoła głowy.

W Indjach wygląda to, coprawda, nieco inaczej niż w Europie. Tam prawdziwe „sari", to właściwie radzaj szala długości jakich ośmiu metrów. Trzeba specjalnej sztuki i dużej wprawy, by szalem tym owinąć się szczelnie od stóp aż do głowy, tworząc z niego oryginalną a bardzo ładną szatę.

Krawcy paryscy naśladują obecnie tę modę, dając prześliczne kreacje sukien wieczorowych w stylu „sari".

Pierwszy przykład dał Schiaparelli: była to efektowna suknia z materjału koloru ceglastego, obszyta złotym haftem. Za jego przykładem poszły inne pierwszorzędne firmy — i obecnie „sari" stało się ostatnim krzykiem mody, zarówno w Paryżu jak i w Londynie.

Trzeba tylko dwóch rzeczy: przedewszystkiem mieć smukłą, zgrabną sylwetkę, — a powtóre... dysponować budżetem pozwalającym na podobną, kosztowną ekstrawagancję.



Kostium wieczorowy wzorowany na hinduskiej „sari" (model Schiaparelli).

Poradnik dla gosposi

ORYGINALNY SPOSÓB PRZYRZĄDZANIA SZPINAKU.

Dowolną ilość szpinaku obgotować na lekko osolonej wodzie, osączyć, usiekać drobniutko, albo przefasować przez sito.

Zasmażyć łyżkę masła z pół łyżką mąki, nie rumieniąc, (proporcja masła na 1 kg. szpinaku surowego), włożyć szpinak dodać trochę słodkiej śmietanki, wymieszać, zagotować. Wysmarować ogniotrwały półmisek masłem deserowem, wyprószyć tartym serem szwajcarskim. Ułożyć na półmisku szpinak, zalać gęstym sosem beszamelowym zaprawionym surowemi żółtkami i tartym serem. Powierzchu oprószyć tartym serem szwajcarskim, skropić masłem sklarowanem, zapiec na jasno-złoty kolor. Wydawać na stół na tym samym półmisku, na którym szpinak był w piecu, garnirując grzanki z bułki.

SZPARAGI NA ZIMNO

Przyciąć krótko szparagi tak, aby zachować tylko najdelikatniejsze części przylegające bezpośrednio do łebków. Obrać z włókien, ugotować na lekko osolonej i ocukrowanej wodzie. Ugotowane wyjąć delikatnie, łyżką durszlakową na sito i doskonale osączyć. Zimne szparagi ułożyć na podłużnym półmiseczku szklanym, dając do nich szklane, albo rogowe: łyżkę i widelec. Oddzielnie w sosjerce podać oliwę nicejską wyborową doprawioną sokiem cytrynowym i dużą ilością siekanej zieleninki. Kto nie lubi oliwy może zastąpić ją żółtkami surowemi utartemi z sokiem cytrynowym, do których trzeba dodać: soli, odrobinę białego pieprzu i dużo drobniutko siekanej zieleninki.

GALANTYNA Z KURY

1 kura, 30 dkg schabu wieprzowego, 12 dkg słoniny, 1 bułka namoczona w mleku, 3/4 szklanki śmietanki, soli, pieprzu do smaku, omlet zielony.

Kurę rozciąć na grzbiecie, odciąć szyję i skrzydła, wyjąć wszystkie kości, rozłożyć na deseczce, osolić, odkroić część mięsa z piersi i udek i nałożyć następującym farszem: przepuścić przez maszynkę schab, mięso z kury, słoninę i bułkę, dodać śmietanki lub mleka, pieprzu, sól, wyrobić dobrze na pulchną masę, dodać omlet zielony (robi się omlet bez mąki, chcąc mu nadać kolor zielony, dodaje się wyciśnięty sok ze szpinaku) pokrajany w kostkę i wymieszać lekko. Farsz ten zawinąć w mokrą serwetkę, obwiązać szpagatem, włożyć do gotującej wody i gotować na wolnym ogniu 2 godziny z jarzynami, solą i kośćmi kury. Po ugotowaniu przycisnąć lekko galantynę w smaku, w którym się gotowała, i wyjąć dopiero jak ostygnie. Przed podaniem pokrajać ją w plastry, ubrać ładnie półmisek galaretką i podawać z ostrym sosem majonezowym lub tatarskim. Na gorąco podaje się z sosem kaparowym.

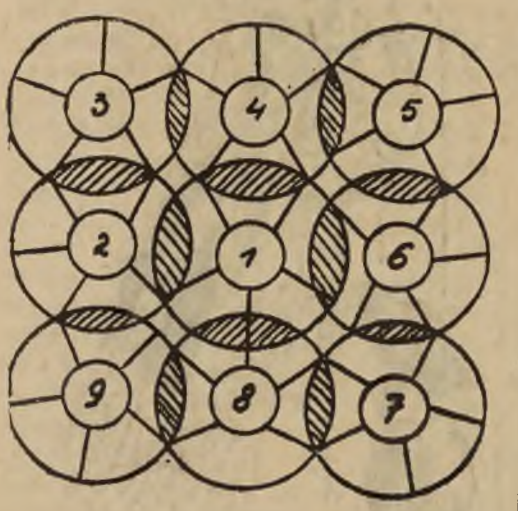


Skromna a elegancka płócienna sukienka letnia z naszytemi haftami na ramionach

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Kółeczka

(ułożył „Tato Krzysia")



W poszczególne kółka proszę wpisać dziewięć wyrazów 5-literowych o podanych poniżej znaczeniach.

Litery wpisuje się w kierunku ruchu wskazówki zegarowej; litery wspólne dla sąsiadujących ze sobą kółek oznaczone są polami zacieniowanemi.

Znaczenie wyrazów:

1) nieobecność w pewnem miejscu, 2) główna tętnica, 3) słynny lotnik polski, 4) zbiorowe wydawnictwo pamiątkowe, 5) działanie, 6) tytuł panującego w dawnej Rusi i na Litwie, 7) instrument orkiestrowy, 8) popularne ptaki (nazwa ludowa), 9) pożyteczne i pożywne owoce egzotyczne.

* * *

Przestawianki „majowe"

(ułożył „Perkun"),

MAJ+oda+len = orzeźwiający napój.
MAJ+osa+tron = gałąź wiedzy.
MAJ+Etna+ci = bywa straszna, a czasem i „słodka"
MAJ+Egon+lama = grasuje zwłaszcza w Warszawie.
MAJ+śni = wonny kwiat.
MAJ+sza+len = niedobrane małżeństwo

* * *

Szarada

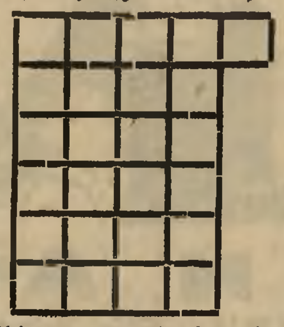
(ułożyła H. M.)

Cudny piękny wiosny czas!
Jasny-ciepły pełny kras!
Zioła, kwiaty kwitną, wonią,
W sadach lasach ptaszki dzwonią
Krasa wiosny **pięć-sześć** oczy
Potok z hukiem wody toczy;
Tam za lasem modry pas,
Dalej żwawo wszyscy wraz!
Pierwszy śliczny, **dwa-trzy-czwarty**
Świat szeroki i otwarty
Na wycieczkę spieszy już
Słońce złoci czoła wzgórz,
Siódme-ósme niezabudki
Koją nasze bóle, smutki
Jakie tylko w sercu masz.
Jędrne ciało w słońcu praż!
Witaj **pierwszy-drugi** miły
Pełny życia twórczej siły!
Kwiaty sączą swe nektary
Słodkiej **pięć-czwór** pełne czary
Wiosna śpiewa wdzięcznie gra,
W duszy błogo, serce drga.

* * *

Eliminatka

(ułożył „John Bull")



W kratki proszę wpisać poziomo sześć wyrazów o niżej podanem znaczeniu. Eliminując z nich litery, zawarte w „kluczu" otrzymamy rozwiązanie.

„Kluczem" są pewne utwory poetyckie, popularne w epoce romantyzmu. Znaczenie wyrazów: 1) imię jednego z proroków, 2) Rzymianin, znany ze surowości obyczajów, 3) piewca, śpiewak, 4) budynek targowy, 5) prymitywna szopa, 6) staropolska nazwa wesela.

* * *

Termin nadsyłania rozwiązań: środa 5-go czerwca.

Nagroda do rozlosowania: interesująca powieść.

* * *

Rozwiązania z nr. 129.

Logogryf: N-odór, i-dole, o-bora, s-tuła, n-orka, a-kord, i-kona, d-obra, z-boże, i-grać, e-pika = Wiosna idzie.

Szarady „Diany": V. Stokroć groźniejsi niekobieciarze!

VI. Plastyka malowidła.

Plaster miodu: Kulisy, lotnik, zagony, posiew, kaleki, ogarek.

„Jeszcze o kobiecie": Źle jest bez kobiet.

Szarada: Człowiek sądzi, Bóg rządzi.

* * *

ROZWIĄZANIA NADESŁALI

ze Lwowa pp. Hel. Kowalska, J. Kwiczoł, Wład. G., Ad. Rogozińska, M. Dworska, W. Wolańska, Eug. Dworski, Jankor, Br. Ostrowski, St. Krzywobłocka, „Tato Krzysia", R. Wit., E. Boczarska, M. Łesiuk, „Andulka", Józ. Koberwein, M. Ruxerówna, Ted. Wilczyński, Roman H.

z Warszawy pp. J. Alia, B. Bieńkowski, L. Ciesielski, Z. Garliński, J. Gill, J. Gilewicz, „Junona", R. Klimczak, Cz. Kozłowski, N. K. Kosłowski, N. Sławnicki, inż. Z. Słowikowski, „Trzynastka", W. Ustaszewski, M. Wysocka, H. Silczyńska, W. Nowicki.
Adela Rogozińska, Roman H.

z prowincji pp. Tad. Dworski (Sanok), Kaz. Jurkiewicz (Śniatyn), I. Wilkowa (Rzeszów), Mieczysław Alexandrowicz (Delatyn), Kaz. Harasymów (Komarno), „Tom" (Rzeszów), M. Potocka (Sanoczek), Irena Senze (Żychlin), M. Lityńska (Przemyśl), J. M. (Chyrów), E. A. (Otynja).

Nagrodę uzyskała p. Marja Potocka w Sanoku. Książkę wysyłamy.

Sztuka żywego słowa

Przeciętny radjosłuchacz, taki sobie „szary człowiek" z jakiegoś Złoczowa czy Kopyczyniec, który nigdy w życiu nie widział (i zapewne nigdy nie zobaczy na własne oczy) wnętrza radjostacji, — to klient trudny do zadowolenia.

Tem trudniejszy, że... niewidzialny. Cóż np. może najlepszy prelegent radjowy wiedzieć o tem, czy ów „szary człowiek" wysłuchał cierpliwie, może nawet z zaciekawieniem, jego starannie opracowanego odczytu, czy też przeciwnie, nie zamknął głośnika już po paru pierwszych usłyszanych słowach?

Bo ten szary człowiek, — to nie słuchacz uważny, siedzący na krześle w dużej, wypełnionej sali, wpatrzony w postać prelegenta. Nie, — on poprostu po skończonej pracy zasiada wygodnie przy stole, w kółku rodzinnem, zapala papierosa czy fajeczkę, przegląda program radjowy i nastawia głośnik, — o ile znajdzie w programie coś interesującego. Może być nawet i odczyt, — o ile tytuł będzie brzmiał zachęcająco, nie będzie zanadto fachowy, suchy, nic nie mówiący (lub co gorsza, zawiele mówiący). Weźmy przykład, pierwszy z brzegu: Tytuł „Z dziedziny astronomji" zainteresuje zaledwie małą garstkę słuchaczy. Ale zmieńmy go na inny, np. „Lecimy na Marsa", lub „W rakiecie do przestrzeni międzyplanetarnych", — a ilość radjosłuchaczy zwiększy się wielokrotnie.

Nie koniec jednak na tem: „Szary człowiek" otworzył głośnik i słucha. Słucha monotonnego „ględzenia", czy wykładu recytowanego w tempie „wyścigowem", czytanego przez prelegenta z gotowego skryptu...

Albo znów dolatują do uszu jego słowa niekompletne, skutkiem „połykania" końcówek, długie, nużące okresy, zdania wygłaszane z przesadnym, sztucznym patosem.

Wówczas — po paru minutach, zirytowany, zamyka głośnik, przysięgając sobie w duchu, że już nigdy nie da się „nabrać" na żadną prelekcję.

O tem wszystkiem prelegent — niestety — nic nie wie. I nie zdaje sobie sprawy, ile szkody narobić może swym, najlepszym nawet, odczytem, o ile nie posiadł sztuki żywego słowa.

Bo radjo ma swoje wymagania, swoje odrębne, niewzruszone kanony. Trzeba je poznać dokładnie, trzeba wiedzieć doskonale, co i jak mówić należy, zanim się stanie przed tym tajemniczym zaczarowanym mikrofonem.

* * *

W krajach zachodniej Europy oddawna już istnieją specjalne szkoły czy kursa dla prelegentów radjowych. Kto takiego kursu nie przeszedł, nie ma prawa i nie powinien ważyć się na przemawianie do mikrofonu.

U nas o kursach podobnych dotychczas głucho. Tem bardziej więc pochwalić trzeba inicjatywę Komisji Odczytowej przy Głównej Radzie Programowej P. R., która wydała świeżo małą broszurę pt. „Wskazówki dla prelegentów radjowych".

Broszurka daje szereg zwięzłych a cennych wskazówek zarówno co do samego tematu prelekcyj, jego ujęcia i opracowania, — jak i co do sposobu wygłaszania prelekcji.

W sposób prosty i jasny, zwraca uwagę na te najważniejsze elementy, decydujące o powodzeniu prelekcji, jakiemi są: głos i jego modulacja, tempo i wymowa.

Podkreśla zasadniczą różnicę, jaka zachodzi między audytorjum w sali odczytowej, a rozrzuconymi po całym kraju, w tysiącach domów, radjosłuchaczami. Poucza, informuje, ostrzega.

Broszurka ta powinna się znaleźć w rękach każdego prelegenta czy recytatora radjowego, który, po jej dokładnem przestudjowaniu, zrozumie dopiero „sztukę żywego słowa".

Należałoby ją jednak uzupełnić przez dołączenie krótkich wskazówek odnośnie recytacji utworów poetyckich i melodeklamacji.

Ale i w obecnej swej formie spełnia ona doskonale wytknięte zadanie. Spodziewamy się też, że po tej pierwszej pojawią się wkrótce podobne dalsze.

(Lucy).

Echa wielkiej żałoby

Fakt niespodzianej śmierci marszałka Piłsudskiego wstrząsnął i do głębi poruszył wszystkie dziedziny bieżącego życia. Groza jego spadła na nieprzygotowane społeczeństwo, paraliżując wszelkie żywsze odruchy, głośniejsze rozmowy, uśmiechy, wesołość. Mieszkańcy prowincji **jednocześnie** z mieszkańcami stolicy dowiedzieli się przez radjo o tem smutnem wydarzeniu. Zdaje się, że ta równoczesność w informowaniu **całej** Polski wraz z **Warszawą**, trafia się dosyć rzadko, gdyż naogół wiadomości, które szły na prowincję, w stolicy były znane dzień, lub dwa wcześniej. Tym razem było inaczej: nawet Warszawę — tę Warszawę wszystko najlepiej wiedzącą i przewidującą, — zaskoczyły słowa speakera, obwieszczające skon marszałka Piłsudskiego.

Radjo — przerwawszy nadawanie normalnego programu — zawiadomiło o tem słuchaczy w późnych, nocnych godzinach. I już bez przerwy do **białego** rana co pół godziny szły — powtarzane i świeże — komunikaty i informacje. Radjostacja warszawska pracowała **całą dobę,** gdyż chodziło o to, by najdalsze, najodleglejsze zakątki pozbawione łączności z szerszym światem, zakątki do których gazety kolej przywozi w południowych godzinach, zawiadomić i przygotować w całym kraju odpowiednio uroczysty nastrój.

Udało się to w zupełności. A do celu tego służyły jeszcze rozmaite reportaże ze studja, **transmisje** z ulic i placów **warszawskich,** audycje literackie na które składały się fragmenty arcydzieł naszej literatury, no i przedewszystkiem **odwołanie i zawieszenie** stałych programów radjowych, kinowych, i teatralnych. Zostaliśmy siłą tego faktu wytrąceni z normalnego biegu życia. Ludzie — opanowani dziwną, rozszerzającą się psychozą — wystawali godzinami przed sklepami z głośnikami radjowymi, w oczekiwaniu jakichś nowin, choć wszyscy dobrze rozumieli, że nie usłyszą już nic **nowego,** poza tem, co już wiedzą.

Poszczególne rozgłośnie zorganizowały **własną służbę informacyjną,** przesyłały zebrane wiadomości do Warszawy. I znowu Lwów, wybił się tu na pierwsze **miejsce,** gdyż był **jedynem miastem,** w którego rozgłośni utrzymywano przez cały tydzień bez względu na porę dnia i nocy **nieustanne dyżury.** Naturalnie, iż utrzymanie ich zależało tylko od dobrej woli pracowników lwowskiego radja, z których niejeden — z dyr. **Pawłowiczem** na czele — wspomina swój **czynny udział w Legjonach.** Jako całe wynagrodzenie za dyżury dla sprawujących, było — zmęczenie i niewyspanie.

Ogromnie trudną była praca sprawozdawców radjowych, mających za zadanie informowanie słuchaczy o tem, co się w danej chwili wokół mikrofonu dzieje. Transmisje z poza studja należą do dosyć trudnych, tembardziej, że trzeba w nich właśnie — **improwizować.** Delegowano do tej pracy najzdolniejszych współpracowników, obdarzonych **zimną** krwią, dobrą orjentacyjną, wymową i **spostrzegawczością.** Ponieważ było ich nie tak wielu, ci sami obsługiwali mikrofony sprawozdawcze wpierw w Warszawie, potem w Krakowie. Napomknąć muszę, że w Katedrze na Wawelu było wmontowanych **jedenaście mikrofonów.** Każdy z nich był stacją nadawczą i odbiorczą zarazem, tak, że za pomocą dołączonych słuchawek sprawozdawcy **nawzajem się słyszeli.** Urządzenie to zapobiegało powtarzaniu drugi raz tych samych wiadomości, pomagało w utrzymaniu raz nadanego stylu, tonu i nastroju. Można powiedzieć, że mimo niezmiernej ilości trudności technicznych, transmisje te wypadły naogół dobrze i plastycznie, dając słuchającym wyrazisty obraz przebiegu niecodziennych uroczystości.

Z powodu narodowej żałoby, mającej trwać sześć tygodni, t. z. mniej więcej do końca czerwca, z programów radjowych eliminowano wszelkie audycje o charakterze lżejszym, czy wesołym. Odpadają również koncerty muzyki salonowej i lekkiej, które zastąpi **muzyka poważna,** jednak nie ta ciężka, niestrawna i niezrozumiała, lecz dobrana starannie uważnie i z pamięcią na **nieświetne** wyrobienie muzyczne większości radjosłuchaczy. Zobaczymy, jakie będą tego rezultaty: czy słuchacze potrafią obejść się bez tuzinkowej tandety, **imitującej** muzyke, o ile dostarczy się im w to miejsce rzeczy wartościowych, — czy też zwycięży duch „nowoczesności" domagający się od muzyki lekkiej jak najwięcej zgiełku, hałasu i.... chaosu? Dowiemy się o tem za parę tygodni.

IRENA NAŁĘCZ